



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 24 (114)

NIEDZIELA, 6 SIERPNIA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

PRAWO WASZE JEST PEWNE

„Od pierwszych alarmów okropnej burzy i w miarę, jak raz rozpętana, srożyła się coraz bardziej, wzrok nasze serca kierowany był ku waszemu bohaterskiemu Narodowi. Śledziliśmy dzień za dniem, można powiedzieć godzina za godziną, w boleści i trosce przebieg wypadków, które — zaledwie wasz Naród zmartwychwstał i wznowił się — dotknęły go najcięższymi próbami. Ale, tak jak i wy, ani na chwilę nie straciliśmy nadziei na nowe zmartwychwstanie waszej Ojczyzny...”

„W rzeczy samej, chociaż wasza ziemia jest cała czerwona od krwi, która ją zalewa, prawo wasze jest tak pewne, że mamy mocną nadzieję, iż wszystkie narody uświadomią sobie w sumieniu swoje długie względy do Polski, która jest polem i zbyt często przedmiotem ich sporów — i że ktośkolwiek zachowuje w sercu choć jedną iskrę naprawdę ludzkich i chrześcijańskich uczuć, temu będzie zależało na tym, aby uzyskać dla niej całe miejsce, należne jej zgodnie z zasadami sprawiedliwości i prawdziwego pokoju.

„Życie ludów jest ciągłym następstwem cieni i światła: żaden kraj bardziej od waszego nie przedstawia tego światłocienia w swojej tragicznej przeszłości. W tyłu przejściach wasze światła załyły: wasze męstwo, duch ofiary, wasz patriotyzm, uratowały was ze skrajnych niebezpieczeństw, aż z nad brzegu przepaści.”

„Ale dwa głównie widzimy źródła, które w najniebezpieczniejszych godzinach zachowują u was życie zdrowe i mocne. Jest nim najpierw energia i mądrość waszych podziwu godnych kobiet, które w czasie nieszczęścia okazały się tak często mocną podporą waszej nadziei. Jakże w ciągu tych ciemnych lat pracowały wasze matki, siostry, żony i narzeczone, jakże cierpiały, jak modliły się za was i w jedności z wami!

„Po wtóre, tym źródłem jest żywotność waszej wiary katolickiej, tysiącletniej niedługo: trwa ona od owego roku 966, w którym wasz książę Mieszko I otrzymał ją od Kościoła Rzymskiego i od Papieża. Od tego czasu wasza wierność Chrystusowi Panu, Jego Kościołowi i Zastępcy pozostała niezłomna; przeżyła bez wielkich szkód burzliwy okres XVI wieku; kosztowała was wiele walk podjętych nieustraszenie, wiele mężeńie zniesionych cierpień.”

(Z przemówienia Ojca Św. Piusa XII do żołnierzy polskich na uroczystej audyencji w dniu 28 lipca 1944 r.)



Fot. W. Ostrowski

Ojciec św. Pius XII udziela błogosławieństwa żołnierzom Wojska Polskiego podczas uroczystej audyencji w dniu 28 lipca b. r.

NA ZAKRĘCIE DZIEJÓW

Rozkaz Nr 16

Żołnierze 2. Korpusu!

Przybyłem na front włoski z zamiarem dłuższego pobytu w Waszym gronie. Nikstyty, rozwój wypadków zmusza mnie do przerwania podróży. Wezwany przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do powrotu, odlataję do Londynu. Żegnaję się z Wami z ciężkim sercem, niby człowiek, który udaje się w daleką i trudną wódrówkę, opuszcza dom rodzinny i z żalem ogląda się poza siebie.

Przeżyłem z Wami od początku do końca dnia zwycięskiej bitwy pod Ankoną. Byłem dumny z Was widząc Wasze bohaterstwo, Waszą

ochotę i zapal do walki. Na cichym cmentarzu włoskiego miasteczka, wśród lasu świeżych mogił kryjących zwłoki Waszych kolegów spędziłem pamiotne chwile zadumy i głębokiego wzruszenia.

Z największą radością odznaczyłem krzyżem „VIRTUTI MILITARI” Waszego zwycięskiego dowódcę i obok niego wielu dzielnych żołnierzy Korpusu. Przykro mi niezmiennie, iż nie zdążyłem odwiedzić szpitali Waszych, gdzie zamierzałem osobiście przypiąć krzyże tym, którzy krwią swoją ofiarę zrosili pole walki.

Założę również, że nie mogłem odbyć inspekcji wszystkich służb Korpusu, które tak wydatnie przyczyniły się do Waszych zwycięstw.

Rozstaję się z Wami w chwilach przełomowych, na ostrym zakręcie dziejowym.

Znam dobrze Wasze wyznanie wiary, wasze myśli są moimi myśłami. Wasze dążenia i uczucia mieć będą we mnie zawsze orędownika i obrońcę. Jako Wasz Wódz Naczelny uczynięm wszystko, by były one również znane Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej.

Polskie Siły Zbrojne, będące narzędziem woli Narodu, toczą walkę w obronie całości, niepodległości i honoru Polski. Te święte cele wojny obowiązują nas ciągle, przeto nie wypuścimy broni z ręki. Musimy maszerować dalej, choć serce nie raz z bólu pęka, a zmęczone czy napróżno rozglądają się dookoła w poszukiwaniu prawdy i sprawiedliwości.

Szlaki Wasze, tak krwawe i ciężkie, są proste i uczciwe. Jest to droga obowiązku wobec Polski, droga nieskalanego honoru żołnierza polskiego, który był, jest i pozostanie rycerzem bez skazy i prawdziwym gentlemanem. Bądźcie przekonani, iż postępując w ten sposób służycie jednocześnie ludzkości i jej najszczytniejszym ideałom. Mieć czyste sumienie, iść z podniesionym czołem, móc patrzeć wszystkim prosto w oczy w poczuciu usprawiedliwionej dumy żołnierskiej, oto wielka Wasza siła moralna, przed którą na dłuższą metę ostać się nie zdoła gwałt i przemoc.

Żołnierze 2. Korpusu, jesteście wspaniałymi, kochanymi chłopcami. Miłuję Was z głębi duszy, wierzę w Was i mam do Was zaufanie bez granic. Wiem, że maszerując wspólnie przetrwamy, zwyciężymy i do celu dojdziemy.

Rzym, dnia 2 sierpnia, 1944

NACZELNY WÓDZ
SOSNKOWSKI
Gen. Broni



Fot. F. Maliniak

Zastępca Dowódcy Wojsk Amerykańskich w strefie Morza Śródziemnego gen. J. L. Dewers, dekoruje Dowódcę 2. Polskiego Korpusu gen. W. Andersa na placu Wenecji w Rzymie komandorią amerykańskiego orderu „Legion of Merit”.

I. M. BOCHENSKI, O. P.

KOŚCIOŁ POLSKI

Kościół katolicki podobny jest — porównanie zrobił bodaj Benson — do wielkiego tumu, który pod jednym wspólnym sklepieniem kryje wielość najrozmaitszych kaplic i kapliczek. Jest jeden i powszechny — gdziekolwiek człowiek przynajmniej się do niego, wierzy w te same prawdy Wiary, uznaje tę samą Hierarchię i przyjmuje te same w istocie Sakramenty. Ale Kościół jest także żywym społeczeństwem, które — choć ponad-czołowe i ponadnarodowe ma cele — żyje przecież i walczy na ziemi, zamurzony w prądzie historii, zbudowany, jeśli o jego ziemski element chodzi, przez konkretnych ludzi i narody. Kościół nie ogranicza się do głoszenia wiecznych prawd Wiary — stwarza i stwarza własną kulturę. I dlatego w Kościele jest nie tylko jedno wspólne ku niebu strzelające sklepienie i jeden wspólny fundament, ale — jak w najlepszym jego symbolu, owej katedrze gólickiej — także wielość różnych kaplic, mieniących się wszystkimi odcieniami, jakie duch w ramach Wiary. Sakramentów i Hierarchii stworzyć potrafił.

Są więc w Kościele na przykład różne szkoły myśli, różne kierunki życia duchowego i różne style, nie tylko budowy świątyń, ale i modlitwy. Nie zatem dziwne, że wspólne sklepienie wiary katolickiej obejmuje także i spaja światową wielość kaplic narodowych. Każda jest od wielu wieków tą grupą, która najsilniej kształtowała życie ludzkie, wyiskajając piętno na myśli, sztuce i obyczajach. Byłoby dziwnym, gdyby go nie wysyciły także na religii, na stosunku do Boga, stylu modlitwy i ofiary, na obyczajach kościelnych i interpretacji prawd ewangelicznych o obowiązkach względem bliźniego. W rzeczy samej narodziła się wielość katolicyzmu pod względem jego cech wtórnych, owego stylu myśli, modlitwy i obyczajów, jest niezaprzeczonym faktem.

Śmiem twierdzić nawet, że nie tylko faktem, ale i składnikiem idei. Katolicka koncepcja kultury nie ma nie wspólnego z niwelacyjnym strychem. Jest oparta na ideale harmonii setek kultur i odcieni lokalnych. Kościół nie jest Hobbesowskim „corpus politicum”, złożonym z jednakowych atomów, ale organicznym tworem, łączącym we wspólną wiarę i pod wspólną duchową władzą różnolitość wielości odcieni, których zespół i wzajemne oddziaływanie stwarza jedność i wielość całości. Nawiasem mówiąc to jest powód, dlaczego Kościół katolicki, tam gdzie ma prawdziwy rząd dusz, jest zawsze bardziej niż jakikolwiek inny, Kościołem Narodowym w prawdziwym i pełnym tego słowa znaczeniu.

Wystarczy rzucić okiem na Kościół współczesny, aby bez trudności wyroznić w nim obok innych stworów w rodzaju na przykład Kościoła ukraińskiego czy słoweńskiego, także wielkie kaplice narodowe, tworzące trzon i główne filary katolickiego tumu. Są to np., aby wyróżnić tylko parę najważniejszych, kościoły irlandzki, francuski i hiszpański. Irlandzki po rzymskim może najczystniejszy, był przez długie wieki popieprzany misjonarzy na Europę i ostoją naszej cywilizacji, do dziś rządzi duszami w Imperium Brytyjskim i Stanach Zjednoczonych. Duchu surowego, o wielkiej tendencji pokutnej; jest bezwzględny w administracji, najlepiej zorganizowany i najbardziej karny. Hiszpański, przez długie wieki główne bodaj źródło katolickiej mistyki, życia zakonnego i teologii, dał nam realizację idei misyjnej i nawrócenie Południowej Ameryki. Zamieszany w światłość nabożeństwa, bezkompromisowy w walce z niewiernymi, fanatyczny nieraz, przejawia największe obok polskiego zrozumienie

dla spraw wojny świętej o wiarę. Francuski panuje dziś duchowo w Kościele Powszechnym, bo choć bity straszliwie w masach, wytworzył sobie niezrównaną elitę i jest obecnie źródłem niemal wszystkiego co nowoczesne i żywe w katolickiej kulturze: myśli, ruchu liturgicznego odrodzenia zakonów, społecznych. Cechy ma swoje: brak mu zarówno irlandzkiego zamiłowania w pokucie, jak i hiszpańskiej gorliwości — ma za to styl życia prosty, mocny i jak wszystko co francuskie, logiczny.

Jaką rolę przypisać trzeba obok nich naszemu polskiemu odcieniowi kultury katolickiej? Odpowiedź nie może, moim zdaniem, nasuwać żadnych wątpliwości: Kościół Polski jest obok wymienionych trzech, czwartym wielkim Kościołem Narodowym, jedną z najważniejszych kaplic w powszechnym tumie i jednym ze słupów, na których stoi w chwili obecnej katolicka kultura. Prawda to nie znana i nie doceniana nawet przez nas samych. Ale w obliczu burzy, która nadciąga na Europę i Kościół, a która uderza w nas — jak zawsze — pierwszych, uświadomienie sobie tej prawdy i praca nad rozpowszechnieniem jej zrozumienia jest, śmiem twierdzić, jednym z najważniejszych nakazów chwili.

Kościół Polski jest przede wszystkim liczebnie jednym z największych. W Polsce było katolików 26 milionów, a więc czysto statystycznie Polska stała pod tym względem na piątym miejscu w świecie, po Italii, Francji, Niemczech i Brazylii. To jest jednak sprawa drugorzędna. Siły irlandzkiego katolicyzmu nie można przeczyć mierzyć ilością głów w Wołnym Państwie Irlandzki, a roli katolików hiszpańskich nie wolno zacięć do dwudziestu paru milionów mieszkańców Hiszpanii. Także polski katolicyzm nie mieści się w ramach państwa z 1938r. Jego styl życia i myśli ogarnia przede wszystkim całość dawnych ziem Rzeczypospolitej; jego piętko nosi na sobie Unię grecko-katolicką, jego kulturą żyje jeszcze ciągle liczna nasza emigracja amerykańska, choć rzucana w środowisko irlandzkie i zagrożona utratą cech własnych. Jeśli ujmemy rzecz pod tym kątem widzenia, nie będzie przesadą twierdzić, że katolicyzm polski obejmuje ponad 30 milionów ludzi i cyfrowo mierzyć się może z największymi na świecie.

Statystyka jest naturalnie narzędziem zawodnym. Mówi się na przykład, że jest 40 milionów katolików francuskich, a 2 i pół miliona katolików w W. Brytanii bez Irlandii. W rzeczywistości, choć katolicyzm francuski jest na pewno od brytyjskiego liczebno silniejszy, nie jestem wcale pewien, czy we Francji żyje naprawdę choć trzy razy tyle katolików, ile ich jest w W. Brytanii: bo niemal każdy katolik ochrzczony w Kościele brytyjskim jest katolikiem praktykującym, podczas gdy na dziesięciu Francuzów-katolików, ośmiu zapewne, a może i więcej, nie wierzy i nie modli się wcale.

Jak jest pod tym względem u nas? Część inteligencji, katolickiej z metryki, nie wierzy. Są małe, ale żywe ośrodki uczonych, literatów i myślicieli wierze wróg. Polityka była często w rękach bezwyznaniowców. Mimo wszystko, gdziekolwiek dany nam było zetknięcie się z obcymi narodami, konstatowaliśmy zawsze, że bijemy ich wiernością Wierze. We Francji pobyt wojska polskiego był z reguły wielką religijną sensacją. W Szkocji — gdzie przecież wiara u katolików jest tak żywa — mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie do nas mieli, wywarliśmy wpływ ogromny i religijnie podnoszący. Wreszcie tu, we Włoszech, w kraju o tyle dawniej od Polski katolickim, my Polacy znowu ze zdumieniem konstatujemy na każdym kroku, że nasza wiara jest powszechniejsza i głębsza. Także tutaj pobyt naszych oddziałów wojskowych działał podnosząco na religijność ludności miejscowej — bo nasz poziom jest wyższy.

I liczbą i jakością wiary Kościół Polski jest, jeśli nie pierwszym, to w każdym razie jednym z pierwszych na świecie. Bije przy uwzględnieniu obu czynników, o ile można się zorientować, i kościół włoski, i francuski i hiszpański pozostają w tyle może tylko za irlandzkim.

Na stwierdzenie tego — oczywistego moim zdaniem faktu — spotykamy się zwykle ze strony obcych, a nieraz i ze strony polskiej, kompleksem niższości

wobec Francuzów przeżartych katolików, z zarzutem, że będąc liczbowo i przywiązaniem do Wiary silni, jesteśmy przecież bierną masą, która niczego Kościołowi jako całości nie dała, odbiorcą, a nie współtwórcą katolickiej kultury.

W rzeczy samej, nie wydaliśmy ani jednej postaci miary św. Franciszka z Asyżu, ani jednego myśliciela, już nie na miarę Tomasza z Akwinu, ale nawet Banneza czy Vittorii, ani jednego zakonu o rozmiarach tych, które zakładał Irlandczyk czy Hiszpanie, ani jednej wielkiej ekspedycji misyjnej. Teologów polskich, godnych tej nazwy, można było policzyć na palcach jednej ręki, klasztorów karmelitanek było u nas 6 (we Francji 120), misje były w zarożku, tępiłone w dodatku przez głupców w rodzaju tych od „kościół narodowych”. To wszystko są niezaprzeczane fakty.

Ale w ten sposób Kościół Polskiego mierzyć nie wolno — i kto na takiej podstawie sądzi o jego sile i roli, daje oczywiście dowód, że ducha katolicyzmu nie rozumiał. Wszystko co mówi jest prawdą, ale Kościół Polski pozostaje mimo wszystko jednym z wielkich, a nawet największych składników Kościoła Powszechnego.

Więc napierw odpowiadamy stwierdzeniem, że bez teologii, zakonów i słynnych świętych stworzyliśmy przecież to, co w Kościele chodzi: wielkie społeczeństwo ludzi żyjących Wiarą i Miłością. Wszystko inne jest w porównaniu z tym mało ważne. Pracując się w Kościele nie dla reklamy i wielkich kanonizacji, ale dla zdobywania dusz Boga. Bo w oczach Boga ten nie uczony chłop spod Nowogrodka, który padł pod Anconą i ta biedna kobieta spod Brodów mogą być więcej warte i więcej stać niż głośni święci czczeni na ołtarzach. A jeżeli o to zasadniczą sprawę chodzi, Kościół Polski nie ma czego się wstydić przed nikim. Co więcej, wielu obcych do Polski powinno jechać, aby się uczyć, jak się to robi na serio.

Jest i coś więcej. Jako społeczeństwo wytworzył Kościół Polski swój własny oryginalny styl, który choć nie świeci ani hiszpańską paradi, ani francuską teologią, jest przecież odrębnym wielkim stylem życia katolickiego i bezcennym składnikiem powszechnej katolickiej kultury. Trudnił mi wchodzić w szczegóły, po prostu dlatego, że nie potrafił oddać słowami tych nieuchwytnych cech naszej pobożności i obyczajów, które przecież biją w oczy na każdym polskim nabożeństwie, przy każdej naszej modlitwie, w każdym polskim domu katolickim.

Zwróć tylko uwagę na jędr szczegół, przypadkowo przeze mnie zauważony — jeden z tych liczących i nam samym może nie znanych. Inżynier warszawski i łuskieciewicz łapał swojego czasu monogramy „O Chrystusie frasobliwym”, w której zestawiał i omawiał kilkadziesiąt owych charakterystycznych posągów przydrożnych Chrystusa Pana, przedstawiających w postaci siedzącej z nogą na kamieniu, w koronie czarnej i z trzciną w rękę. Całkiem ubocznym i nie zauważonym nawet przez autora tej cennej pracy wnioskiem jest nieoczekiwane stwierdzenie, że posągi tego typu znajdują się: (1) na całej przestrzeni dawnej Rzplitej, (2) tylko na jej przestrzeni i tam, dokąd ludzie z jej obszarów wyjeżdżali. Litwini postawili sobie takiego „frasobliwego Chrystusa” na międzynarodowej wystawie jako symbol swojego kraju i nie zdaje sobie sprawy, że wolał będzie do świata o jednoś kulturowej dawnej obszarze Rzeczypospolitej i tym, że na tym obszarze panował odcień katolicyzmu swoisty, wyrażony między innymi w tym oryginalnym tworze uczucia i sztuki religijnej.

Chodzi zresztą nie tylko o styl uczucia i wyrażający je obyczaj. Mamy w Kościele Polskim do czynienia także z określonym odcieniem myśli. Tak na przykład, poza jedną może Hiszpanią, nie ma kraju, w którym istniałyby tak jasne poczucie obowiązku walki o świętą sprawę i zrozumienie haniebności kapitulacji wobec pohańca, jak u nas. Dwa razy uświadomiłem sobie ten fakt z całą jaskrawością. Raz kiedy po kapitulacji Haczy pisałem mój artykuł o „wojnie bez szans zwycięstwa” i zasięgając rady wielkich rzymskich teologów mogłem stwierdzić, że w oczach wszystkich — prócz Hiszpanów — Hacha był równie wielkim bohaterem, jak dla każdego Polaka był nikczemnikiem. Drugi raz we Francji w

1940 roku, gdy bezpośrednio po udziale rad grupie naszych szeregów chcących się przebiegać do Anglii, natrafiliśmy na sanitariusza francuskiego, wychowanka Ecole Normale Supérieure i diakona kapucyńskiego — a więc należących pod każdym względem do katolickiej elity Francji — który mi tłumaczył spokojnie, że zderzał z pułku, bo wobec przewagi niemieckiej obowiązek walki istnieć przestał...

Osobiście, nie jako Polak, ale jako katolik, dziękować muszę Bogu, że raczył pozwolić do życia Kościół Polski z jego duchem i z jego rozumieniem tych prawd moralnych. Nadchodzą czasy i już są, w których, jeśli kultura katolicka zdążyła się utrwalać, to dzięki temu, że w chórze wielkich i świętych odcieni katolicyzmu nie zabrakło takiego jak nasz.

Nawet jednak jeśli patrzeć będziemy na Kościół Polski z punktu widzenia jego zewnętrznych osiągnięć, przynajmniej muszę, że nie rozumiem owych deficytów, ani nawet rozsądnych cudzoziemców, którzy odmawiają mu wielkości dziejowej. Przeciwnie, im można przeciwie przynajmniej dwa wielkie fakty: obronę chrześcijaństwa przez Polskę i sprawę Unii Brzeskiej. Pierwsza jest zbyt znana, abyśmy potrzebowali się nad nią rozwodzić — choć warto może wspomnieć, że Kościół, którego najlepszy synowie giną ustawicznie w wojnach, w którym żądna uczelnia, żaden klasztor nie przeżył wieku spokojnie, nie było przecież stać na to, co szczęśliwi w lepszych warunkach mogli wytworzyć. Ale przecież wkład jego przez wykucie i podtrzymanie ducha tej obrony jest nie mniejszy, ale bodaj większy niż osiągnięcia wielu innych, szczęśliwszych.

Natomiast Unia Brzeska jest sprawą, o której za mało się u nas mówi, a której za granicą już nikt naprawdę docenić nie potrafi. Przecież jest to jedyny wypadek w dziejach, w którym unia udała się naprawdę. Było co prawda takich unię kilkadziesiąt w historii, ale ogarniały zwykłe duszki kilka, najwyżej kilkadziesiąt tysięcy.

Tylko Kościół Polski dokazał tutaj rzeczy naprawdę wielkiej: greko-katolików jest prawie trzy i pół miliona. Stworzona jego pracą wielka społeczność katolicka rozwinęła się tak świetnie, że nie tylko nie stanowiła dla Kościoła Powszechnego — jak tyle innych uni — ciężaru i stałego niebezpieczeństwa, ale jest nawet jednym z cenniejszych składników katolicyzmu. Kto widział z bliska jego pracę i walki, nie zaprzeczy, że Kościół Unicki jest wielkim tworem, któremu nie łatwo przeciwstawić wiele podobnych osiągnięć na świecie. Ostatecznie cała praca misjonarzy wszystkich narodów w Azji nie dała jeszcze liczbowo — tym mniej jakościowo — większego wyniku. To nie ich wina zapewne. Ale kto wobec tego faktu twierdzi, że Kościół Polski niczego nie dał na zewnątrz, dowodzi, że jest złej wiary, albo nie wie, o czym mówi. A kto prawi o naszej „niezdolności” do nawracania Wschodu, niech pokaze jeden naród, jedną społeczność kościelną w świecie, która na Wschodzie dokazała połowy tego, czym chlubi się Kościół Polski.

Kościół Polski jest jedną z największych i najważniejszych realizacji katolicyzmu na świecie. Liczbowo jedną z największych, powszechnością wiary bijący większość innych, potrafił w swojej tysiącletniej historii wytworzyć własny święty odcień obyczaju, sztuki i życia katolickiego, na wielu odcinkach głębsze zrozumienie prawd ewangelicznych. Spełnił w dodatku ogromną rolę na zewnątrz, przez obronę chrześcijaństwa i pracę unijną.

Ten Kościół jest dzisiaj zagrożony zniszczeniem, zagładą, jaką nie groziła nawet niewola łatarska. Za mało jest ciągle u nas i u obcych zrozumienia, że nie chodzi wcale o jakiś drugorzędny fragment, dający się zastąpić czymkolwiek, lecz o istotny i wielki składnik kultury katolickiej — jeden z filarów, na którym stoi sklepienie katolickiego tumu. Gdyby miał runąć, w gruzby pójść nie Kościół — bo bramy piekielne go nie zwyciężą — ale jego kultura współczesna.

Najlepszym prezentem dla znających czy krewnych jest

Kalendarzyk żołnierski na rok 1944

który jest do nabycia w Redakcji Czasopism i Wyd. Wojsk.

Nakładem Biblioteki „Orła Białego” ukazały się następujące książki
Jerzy Łużycki: „Wzręcznym Szlakiem”
100 l.

Kossak Szczucka: „Legnickie Pola”
100 l.

Sandelevski i Dyląg: Śpiewnik żołnierski
„W marszu”
50 l.

Przewodnik po Włoszech
20 l.

Skrócony podręcznik języka włoskiego
wyd. 2, 25 l.

Wszystkie te książki są do nabycia w Redakcji Czasopism oraz w Ref. Kult. Prop. i w Sekcji Polowej 2. Korpusu.

ARP.

DEMOKRACJA I UCZCIWOŚĆ

Wojna ta, podjęta w imię obrony demokracji przed zapędami totalizmu, gotowa zakończyć się nieodwołalną klęską tych hasel demokratycznych, które panowały w świecie cywilizowanym do ostatnich czasów. Może to nastąpić nie w wyniku zwycięstwa faszyzmu, hitlerizmu, czy imperializmu japońskiego, gdyż zwycięstwo to nie jest już możliwe, ale wskutek coraz bardziej czynnego stosunku do hasel demokracji, zaznaczającego się w niektórych ośrodkach wielkich demokracji zachodu.

Uwzględniwszy choroby oświecenia człowieka, myślowe obojętne, stwierdzających, że wojna stała się „mniej ideologiczną”. Poznajmy wypowiedzi piszącego w Ameryce Burnhama w omawianej na łamach „Orła Białego” książce „Managerial Revolution” lub angielskiego profesora Carra, autora głośnej książki „Conditions of Peace”, pełne otwartego czy ukrytego podziwu dla osiągnięć państw totalitarnych i proponujące przyswajanie sobie wielu ich działań przez świat anglosaski. Zastanowimy się nad faktem, że na obronę wolności pasowano państwo, którego ustroj stanowi jaskrawe zaprzeczenie wszelkich zasad demokratycznych. Wszystkie te oraz inne objawy prowadzą do wniosku, że idee demokratyczne, którymi żył dotąd świat zachodnio-europejski i amerykański, tracą wciąż wartości, przestają być głównymi motorami działalności sojuszników. Nowe plany urzędzenia świata wysuwane są na czoło dążeń walczących wielkich mocarstw. Dyrektoriat trzech czy czterech kolosów zamiast wspólnoty narodów sojuszników wielkich i małych ma objąć władzę nad kulą ziemską, podzieloną na strefy wpływów.

Sprawa wolności narodów oraz ich samostanowienia — tak żywa jeszcze w okresie pierwszej wojny światowej — zastępowana jest przez bezkrytyczny kult wielkich tylko poległych przemysłowych i wojennych. Tylko silni są uwielbiani, słabi są pogardzani, mogą ginąć, a co najmniej dostosowywać swój los do życia i ambicji wielkich. Jeżeli w tamtej wojnie sprawdaniem przywiązania do zasad demokratycznych było upominanie się o wolność mniejszych narodów, a więc choćby Lotwy, Litwy, Estonii, gdy nawet sprawa Gruzji oraz oświecenia narodów bałkańskich była traktowana realnie i broniąca zwłaszcza przez kierunki lewicowe i socjalno-demokratyczne w krajach zachodnich, dziś wysuwane uchodzenia niepodległości tych krajów zachodzi w pewnych kołach za przejaw wsteczności, zacofania, ba, nawet „faszyzmu”. Tylko ten jest „postępowy”, tylko ten używa stempel „lewicowości”, kto pracuje nad rozszerzeniem niektórych wielkich poległych, kto jest wyznawcą ich imperializmu. Idea wolności narodów mniejszych staje się dziś pojęciem najbardziej napaśtanowym i wyszydzanym przez pisarzy politycznych i uważanych za przedstawicieli nowoczesnej i radykalnej myśli politycznej i ekonomicznej.

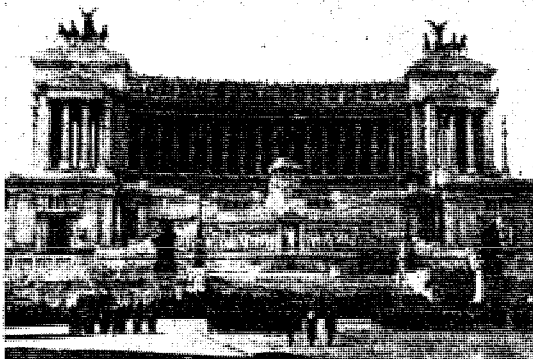
Wpływ hasel demokratycznych jest jednak wciąż tak silny, tak daleko posunął się w ich propagowaniu, że niejednokrotnie najbardziej antydemokratyczne postulaty i posunięcia uzasadniane są wciąż dyalektyką i argumentacją demokratyczną. Za przykład takiego postępowania może służyć wytworzona już w niektórych ośrodkach „postępowych” i „radykalnych” w świecie anglosaskim argumentacja, mająca usprawiedliwić plan oderwania od Polski jej ziem wschodnich. W myśli wywodów tych kół, właśnie realizacja zasad demokratycznych wymaga, by ziemie te do Polski nie należały.

Dlaczego? Dlatego, że zostały one rzekomo przyłączone do państwa polskiego „gwałtem” przez polskich „imperialistów” oraz „militarystów”, generałów i pułkowników z Józefem Piłsudskim na czele i to głównie w tym celu, by zaspokoić ambicje polskich magnatów, mających na ziemiach tych włości. To tylko polscy „landlordowie” reprezentują rzekomo polskość Wilna i Lwowa. Właściwi natomiast mieszkańcy tych ziem, szare masy demokratyczne chłopów i robotników nie myślały i nie myślą o niczym innym, jak o „wyzwoleniu się” spod panowania polskich „panów” i podporządkowaniu się Moskwie.

Bezkrytyczny czytelnik tych argumentów mógł łatwo wyrobić sobie zdanie, że wschodnie ziemie polskie nie są w ogóle zamieszkałe przez Polaków, Ukraińców czy Białorusinów, lecz przez autentycznych Rosjan, a element polski lub pro-polski

jest tam reprezentowany wyłącznie przez zafascynowaną arystokrację. „Plebiscyty”, zorganizowane w znanych warunkach przez okupacyjne władze sowieckie, służyły za potwierdzenie tej argumentacji.

Tak się jednak złożyło, że w tym czasie,



Fot. F. Malinik
Delegacja armii polskiej, amerykańskiej i brytyjskiej na placu Weneckim podczas dekoracji Dowódcy 2. Korpusu gen. W. Andersa orderem amerykańskim

„Nie było walczących, którzy by przewyższyli tych żołnierzy“

W dniu 1 sierpnia br. na placu Weneckim w Rzymie, skąd przed rokiem jeszcze przemawiał Mussolini, zastępca dowódcy sił sprzymierzonych gen. J. L. Devers w obecności Dowódcy Sił Sprzymierzonych w Italii, H. Alexandra i Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. K. Sosnkowskiego dokonał odznaczenia Dowódcy 2. Polskiego Korpusu komandorią amerykańskiego orderu Legion of Merit.

Rozkaz o tym odznaczeniu brzmi, jak następuje:

„**WŁADYSŁAW ANDERS, Generał Armii Polskiej, za wyjątkowo godne uznania postępowanie, którym oddał wybitne usługi Stanom Zjednoczonym i narodom sprzymierzonym we Włoszech od października 1943 do lipca 1944.**

Jako generał dowodzący 2. Korpusem Polskim, generał Anders świetnie prowadził swoich ludzi do ostatecznego nieodpartego uderzenia, które zostało uwieńczone wycofaniem się armii niemieckiej z silnie bronionego Cassino. Ten punkt bronionego oporu został zdobyty, gdy generał Anders poprowadził swe oddziały w skoordynowanym i pełnym ducha ataku alianckim na kluczową pozycję nieprzyjacielską, o którą zacięcie walczone. Następnie, w dalszej akcji na wschodnim odcinku włoskim na wybrzeżu adriatyckim, generał Anders poprowadził swych ludzi na zdobycie ważnego portu Ancona. Wybitne dowodzenie i zdolności operacyjne wykazane przez generała Andersa przyczyniły się waleśnie do sukcesu sił alianckich w kampanii włoskiej.”

W czasie uroczystości gen. Devers wygłosił następujące przemówienie:

„**Minęło pięć lat bez miasteczka od chwili, gdy Niemcy nie spowodowane rzuciły miążdżącą siłę swojej armii na granice Polski.**

„**Niemcy zaprzysięgli zniszczenie narodu polskiego — duchowe, fizyczne, i moralne. Ten zamiar zawiódł, a ich upadek jest skutkiem męstwa narodu polskiego. I oto wyrosli wielcy przewodnicy, nieustraszeni, zdecydowani, przewidujący.**

„**Dzieje żołnierza polskiego, którego tu odznaczamy, mogłyby być przedmiotem eposu. Wyprowadził on dziesiątki tysięcy swego narodu do Persji, gdzie sformował i wytoczył armię. Dowodził tą armią — 2. Polskim Korpusem — we Włoszech.**

„**Pod jego świetną komendą Korpus Polski odnosił wspaniałe zwycięstwa wszędzie, gdzie walczył. Historia opiewać będzie zdobycie Klasztoru. Po upadku Cassina Korpus Polski zdobył Piedimonte, a potem walczyć na prawym skrzydle VIII Armii part naprzód ku nowym zwycięstwom zdobywając Anconę i Senigalię.**

„**Nie było walczących, którzy by przewyższyli tych żołnierzy i nie było żołnierzy, którzy mieliby bardziej uzasadnione przyczyny i większe powodki do zniszczenia nieprzyjaciela.**

„**Ich ojczyzna została złupiona. Niech już wkrótce stanie się ona znów wolną, zajmując ważne miejsce w sprawach świata i pokoju.**

„**Generale, jest zaszczytem dla mnie wręczyć Ci Komandorię Legion of Merit w imieniu Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.**”

kiedy tego rodzaju kłamliwe argumenty rozpowszechniano w niektórych pismach anglosaskich, doszło do walk 2. Polskiego Korpusu pod Monte Cassino, Piedimonte i Anconą. Rozwinęła się seria zwycięstw, które wywołały decydujący wpływ na przebieg kampanii włoskiej. Posypały się zewsząd słowa uznania dla żołnierza polskiego. Podziwiano nie tylko jego bojowość, ale i wartość ideową. Kim jednak był ten żołnierz, który tak szczerze dawał krew w Górach Apenińskich i nad brzegiem Adriatykiem? Skąd pochodził? Z jakich ziem polskich?

Byłoby dobrze, gdyby wszyscy „znawcy” zagadnień polskich ziem wschodnich zbadali na pobojowiskach we Włoszech pochodzenie poległych żołnierzy 2. Korpusu. Byłoby dobrze, by zaznajomili się z ich społecznym charakterem. Przekonałby się wówczas, że byli to przeważnie mieszkańcy ziem wschodnich, nie „landlordowie” czy „magnaci”, ale szarzy żołnierze, których lordostwo objawiło się chyba w tym tylko, że istotnie po wielkopolsku szafowali swą krwią, płacąc za przywiązanie do Polski najwyższą cenę — bo życiem.

We Włoszech odbył się nowy, tym razem prawdziwy i szczerzy plebiscyt różnych narodowości zamieszkujących wschodnią połowę państwa polskiego. Wszyscy oni w sposób silniejszy od takich ich innych plebiscytów zadokumentowali wierność tych ziem wobec Rzeczypospolitej. Walka ich była i jest jednym z dowodów upowszechnienia się, na skutek doświadczeń jakie przyniosła ta wojna, idei państwowej w społeczeństwie polskim, demokratyzacji poczucia odpowiedzialności za państwo, pogłębienia się we wszystkich warszawach jego ludności zrozumienia idei wolności, wartości, jaką niepodległość przedstawia dla każdego obywatela Rzeczypospolitej na wszystkich jej ziemiach.

Pogwałcenie tak dobitnie wyrażonej woli równałoby się w tych warunkach złeczeniu nie tylko zasad demokracji, ale i elementarnej uczciwości. Czynniki powodujące się często z nadmierną skwapliwością na kierunki demokratyczne czy ludowe obciążone są tu oczywiście szczególną odpowiedzialnością. Popeniłby one jaskrawe nadużycie wobec własnie mas ludowych, gdyby woli wyrażonej przez najszersze warstwy społeczne ziem wschodnich nie chciały doceniać i nie uwzględniały w swoich posunięciach. Żołnierze 2. Korpusu walczyli z całym poświęceniem, świadomi, że o się biją. Na pewno nie dlatego, by ich ziemie ojcyste do Polski nie należały, ale dlatego, by wrócić do swoich domów w wolnym kraju.

Postawie tylko pytanie, jak pojmować będziemy obecnie i jak stosować będziemy w przyszłości zasady demokracji. Przedstawiały one siłę wówczas, gdy zaspokajały poczucie sprawiedliwości i uczciwości, gdy w szczególności stawały w obronie słabszych, przed nadużyciem silnych.

Gdyby dziś miał nastąpić rozstrzał między hasłami demokratycznymi i poczuciem uczciwości, gdyby demokracja nie tylko przestała bronić słabszych, ale oddała się na usługi potężnych w ich planach zmierzających do uciskania słabszych, wówczas doczekalibyśmy się istotnego kryzysu w tonie ruchu demokratycznego, który przez długie przecięcie lata rozbudzał żywe prądy społeczne i polityczne, siły postępu, a nawet rewolucji. Wówczas słabsi i upodlegnięci musieliby szukać w innych ideałach i dążeniach wskazania dla naprawienia swych krzywd. Być może, pokusiłby się o znalezienie nowych form demokracji, jako rzeczywistego wyrazu świeżych prądów społecznych i politycznych. Przewroty ideowe bowiem rodzą się z poczucia krzywdy, z tego co boli, są zawsze mniej lub więcej wyrazem buntu.

Poza wielką grą międzynarodową, która towarzyszy tej wojnie, dokonującej się głęboki proces ideowy i umysłowy. Rozstrzyga ją losy nie tylko wielkie mocarstwa i narodów, ale również demokracji. Żołnierz 2. Korpusu we Włoszech uwypuklił dramat, jaki przeżywamy, wskazał na wielką alternatywę ideową, przed którą stanęły świat i demokracja.

STANISŁAW JANIKOWSKI

W 30. ROCZNICĘ WYMARSZU KADROWEJ

I.
6 sierpnia 1914 r. o 3 rano wyruszyła z Krakowa Kompania Kadrowa. Dzieli nas od tej chwili 30 lat. — Okres całego pokolenia ludzkiego. Dzieci uczy się daty z suchych podręczników szkolnych. Legenda stroi legiony w żywe, a czasem i sztuczne kwiaty. W historii górną stronę wojskowa lub polityczna ruchu legionowego, ze wspomnień ucieka życie. By iskierkę jego wykreślać, trzeba odwrócić się od tragizmu życia obecnej, a co równie trudne, wyobrazić sobie naród polski sprzed 20-letniego życia we własnym państwie.

Kadrowka miała być czymś więcej niż zaczątkiem legionów związanych z armią austriacką, miała być zawiązką wojska opartego o własny rząd. Wyszła w Krakowie nawet odczuwa, że rząd taki powstał w Warszawie. Było to fikcją i — wbrew nadziejom — fikcją pozostało przez cały czas wojny. Zabór rosyjski nie wystąpił przeciwko swemu władcy. „Stary, krwawy dyktando ugodę i wierność z jednej strony, a czynu z drugiej” — to tradycyjnie jakby powstające „My i Oni” nie zamario było w Polsce i dało na nowo swój wyraz w dniach pierwszych wojny**).

Lecz „w chwili wybuchu wojny zachowanie się Królestwa Polskiego było trudną do przewidzenia dla Polaków, tym bardziej dla obcych“**).

Spółczesność w Kongresówce, wierne i nie zorganizowane, nie daje się porwać do walki z Rosją. Odczuwają Mikołaja Mikołajewicza przyjmującego wielką część opinii z wdzięcznością, jako akt łaski. Równocześnie rozlega się krzyk zgłosy i oburzenia o gwałt kaliski.

„Dla państw centralnych sytuacja staje się jasniejsza: całość Polski nie da się zwrócić przeciw Rosji. Austria w myśli prastarej zasady „Divide et impera” — spekuluje na antagonizmie obozu niepodległościowego z austrofilskim, doprowadza do upadku myśli o rządzie narodowym; powstaje Naczelny Komitet Narodowy — a jednocześnie, na miejsce wojska — Legiony Polskie, składowa część armii austriacko-węgierskiej“).

Naokról, zabór pruski cały był przeciw swemu zabory; zabór austriacki, przed niepodległościowy — który swe źródła miał głównie wśród imigracji młodzieży z Kongresówki na uniwersytety w Krakowie i Lwowie — skanalizował w spokojne lożysko lojalizmu austriackiego; zabór rosyjski pozostał bierny.

W pierwszej rocznicy wymarszu kadrowki Piłsudski pisał do żołnierzy: „Rok temu z garścią małą ludzi źle uzbrojonych i źle uposażonych rozpoczął wojnę. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, ważących się nad naszymi głowami, na szalach, na które miecz rzucano, zabrakło szablów polskich!“

„Ze szablą nasza była mała, że nie była godna 20-milionowego narodu, nie nasza w tym wino. Nie stał za nami Naród, nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernoj „neutralności“, jakiejś dla siebie od kogoś „gwarancji“***).

Wyskib budowy wojska i jego nadbudowa politycznej objął Piłsudski. Dowodzona przezeń pierwsza Brygada była świadoma obu tych stron jego pracy. Stała murem za „Dziadkiem“, jak go żołnierze nazywali. Była w społeczeństwie za czynem nie tylko wojskowym, ale i ideowo politycznym. Biła się ściśle, nie przestając mydłować; nieco inaczej było w drugiej Brygadzie; mówią o niej Piłsudski: „Tam było zawsze mniej politycznych motywów, samodzielnie przez legionistów wysnutych, nie było tam mnie, jako przedstawiciela politycznej przekory w stosunku do małych ambicji polskich w społeczeństwie“.

„Namiastem bardziej jaskrawo, bardziej wyraziście wypiastowano tam myśl o żołnierzu, zajmującym się prawie wyłącznie swym fachem i przerobią siebie na dobrego żołnierza. W trzeciej Brygadzie, sformowanej później niż inne, ludzie wypracowali typ pośredni, bardziej zresztą, do typu pierwszej Brygady zbliżony“).

Brak nadzrędnego czynnika politycznego, jakim dla pierwszej Brygady był Piłsudski, w drugiej Brygadzie — chwilami

przynajmniej, tym bardziej dawał odczuć żołnierzowi jego osamotnienie.

Lecz życie codzienne żołnierza, to ani wielka polityka, ani nawet wieczne bohaterstwo. Żołnierz legionowy na codzień wielkie ambicje ukrywał pod płaszczykiem przekory. „Legionisci — znów cytuję Piłsudskiego — odznaczali się jak gdyby pewną przekorą w stosunku do otoczenia, przekorą, która daje siłę i odwagę znoszenia największych ciężarów. Przekornie postanowiliśmy dowiedzieć, iż możemy dokonać znacznie większych rzeczy niż te, których od nas żądano...“.

Na codzień żołnierz był wesoły, bujny, wobec obcych zachwaly, żywioło obrotny, w powiedzeniach lapidarny i soczysty. Na wszystko jednak — niezmiennie młody. Piłsudski mówił o jednym z obrazów Kosaka: „Zwróciłem specjalnie uwagę na wyraz twarzy młodego żołnierza (legionisty) z obrazu. Było w niej widoczne podobieństwo do wyrazu twarzy i oczu, jakie codziennie spotykałem u moich żołnierzy. Oczy niewinnego dziecka, mło-



Józef Piłsudski w r. 1914

dzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odłask woju, stanowczości i decyzji — znamień przedczwernego wydobywania z duszy wartości żołnierskiej“).

Nie chcieli dolegać w szpitalach — „żołnierze... uciekali po prostu ze szpitali do wojska“. Uciekali z rany. Piłsudski mówi: „...spotkałem wracających pierwszych rannych... Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabinu maszynowego. Siedział swobodnie, krwią zalany. Główny go pytał: — Cóż to wam, chłopcze? — odpowiedział wesoło i dumnie: — A w głowę mnie trafiło, można, wytrzyma“).

Niech by kto tym chłopcom spróbował mówić o ich bohaterstwie; skłębili go tak, że uciekali, gdzie pieprz rośnie. Jak każdy polski żołnierz, legionista nie znoś szumnego frazesu. O pochwały nie dbał — chyba że wychodziły z ust Komendanta.

II.

Szedł ten żołnierz, z piosenką legionową na ustach, przez pustynię gorzącej afrykańskiej, bo przez pustkowia własnego społeczeństwa. Lecz i tam, w Warszawie zwłaszcza, zaczęło się zmieniać nieco na lepsze. Oboz niepodległościowy dźwigał się zwolna i organizował. Rozrastała się P. O.W.; w Warszawie w końcu sierpnia 1914 r. powstaje Wołna Szkoła Wojskowa, która później złożyła filię w Kijowie. Inicjatorą jej była ówczesna O.M.N. Jej też władnictwem była skromna 16-stronicowa broszurka p.t. „Kujmy broń!“, wydana w czerwcu 1915 r. pod zwolaniem „Wołność, całość, niepodległość“. Jako miejsce wydania podano: Warszawa-Wilno-Kijów. Autorem jej był nie żyjący już dziś Kazimierz Wyszyński. Ta mała broszurka została przyjęta jako rodzaj programu przez P.O.W. Wstęp jej brzmi:

„Jeżeli porównamy rycerskie zapędy Białego i Żółtego pod Moskwą, będące przeciwnymi myślami państwowości polskiej, z dzisiejszą rewindykacją praw narodu rosyjskiego, sięgających rzekomo Zamocnia i Bilogorą w Królestwie Polskim, a Saru i Beskidów w Galicji, jeśli porównamy stan polskości po Witebsku i Mohylewie przed 100 laty z dzisiejszymi mniej lub więcej konsekwentnymi nawoływaniem, idącymi już niejednokrotnie z pol-

skich szeregów, do cofnięcia sprawy polskiej poza linję Niemna, to uprzytomni sobie ogrom, jaki przedstawia cywilizacyjnie i politycznie spór polsko-rosyjski.“

„W śmiałych marzeniach narodowych działach nacjonalizmu rosyjskiego wyrzucają sprawę polską za Wisłę, czy to dowodząc rosyjskiego pochodzenia Lublina, czy to bredząc nawet o Sandomierskiej Rusi. W walce o charakter przede wszystkim cywilizacyjny ziem położonych za Niemnem i Bugiem, Rzeczpospolita Polska związuje swój byt polityczny z posiadającymi już wtedy wielki dorobek państwowym Wilnem, przez 4 stulecia dawała skuteczny odpór bizantyjsko-moskiewskiemu zalewowi. W czasach jagiellońskich i późniejszych wolny ustrój Rzplitej, zupełna niemal niezależność ziem różnych od czysto polskiego ośrodka państwa pod względem narodowym, czy nawet raczej tylko obywatelowym, daleko posunięta decentralizacja, niesiona przez Polskę oświata i cywilizacja Zachodu, katolicyzm i Unia Brzeźna — wszystko to zapewniało na długi czas przewagę polskiej idei państwowej.“

„W okresie społecznych i państwowych niedomagań Rzplitej, zagrożona ze wschodu i zachodu, uległa, nie poddała spadającym na nią ciężarom, a wraz z jej upadkiem zmieniać się zaczęła gwałtownie charakter ziem położonych za Niemnem i Bugiem i zmieniać bynajmniej nie równoległe do przebiegu społeczeństwa, właściwej całej Europie (przede wszystkim zachodniej) w XIX stuleciu i nie równoległe do budzenia się świadomości narodowej u wszystkich naszych dawnych współobywateli Rzplitej...“

„To Moskwa dla swego narodu zdobywa ziemię Rzplitej wolnych narodów, jaką było i być musiało w zgodzie z najistotniejszymi dążeniami narodu polskiego — Państwo Polskie...“

„Dla Moskwy przedacie się do Europy wymagało zgnięcia Polski, wcielenia jej do swego wielkiego organizmu, zatopienia jej w morzu bizantyjskim i słowiańszczyzny“.

Broszura kończy się wezwaniem: „Do skutecznej walki orężnej ze zwyciężoną czy zwycięską Rosją, dla świętej wojny narodowej o niepodległą Polskę KIJMY BRON!“

By ocenić wartość przytoczonych tez, trzeba pamiętać, że były one postawione po wiekowej niewoli, gdy carska — nie bolszewicka — Rosja miała jeszcze szanse zwycięstwa. Są jednak programy, które tkwią korzeniami w duszy każdego czynnego Polaka.

III.

W braku pamiętnika cytuję z własnej broszurki pisanej w roku 1916*):

„W połowie 1915 roku nastrój moskalofili osłabł już w Warszawie znacznie. Ścisły entuzjazm dla „naszych żołnierzy“ ostygła wiara w obietnice wielkości“).

„Bądź co bądź, kierunek niepodległościowy zaczął uzyskiwać prawa obywatelstwa w społeczeństwie, zwłaszcza od czasu, gdy rzucił hasło oporu przeciw przymusowemu wysiedleniu, a gdy konwiktowi niszczyło i rabowało kraj, spłynęła Polska krwią pędzoną na wschód ludności, poczerpniała łuną pożarów...“

„Tak zastał Warszawę dzień 5 sierpnia 1915 r. Zastanowimy się, jakie wrażenie musiała Warszawa zrobić na tych, którzy ją zajmowali.“

„Tęchórzliwi i najzawziętsi moskalofili wyjechali. Wice też na ulicach panował spokój i ład. Ludność odczekała, od grozy przymusowej ewakuacji, pod świętym wrażeniem pożaru Pragi, witała wojska niemieckie z ciekawością, z ulgą, niemal z odcieniem sympatii. Lecz w zachowaniu zupełnej godności. Wzorowy porządek utrzymywały milicja, sklepy potwierniały tramwaje, telefony czynne. Trwa na głównych ulicach nawet reperacja bruków. Społeczeństwo natychmiast powołało do życia sądy. Bierze się do pracy organizacyjno-kulturalnej.“

„Lecz w tym wszystkim, co od rzeczy najważniejszych aż do drobniaków musiała imponować Niemcom, w tym wszystkim brak najzupełniej nuty politycznej. O niepodległość i armii mówią jedynie anonimowe odczyty partii konspiracyjnej, rozlepiane na rogach ulic. Reprezentacja jawna nie powstaje, ogół milczy.“

„Jedynym jawnym wystąpieniem Warszawy było ukazanie się gromadki 600

strzelców, którzy ogłosili się jako wojsko polskie. Polityczna reprezentacja nie powstała, gromadka młodych zapaleńców poszła się bić w formacji legionowej...“

Owa gromadka składała się z członków P.O.W. oraz wychowanków Wołnej Szkoły Wojskowej. „O godzinie 6 rano 5 sierpnia połączone oddziały lotne P.O.W. i S.W. zajęły Pałac Namiestnikowski na kwatery komendy batalionu warszawskiego. W godzinę później ciągnęły już na ten punkt zborny oddziały zmobilizowane P. O. W. i S.W.“).

Ow Warszawski Oddział Wojsk Polskich, rezultat rocznej pracy przygotowawczej w najcięższych warunkach, to drobny, ale w wymowie swej wzruszający przykład zarówno słabości liczebnej, jak i śmiałości myślowej ówczesnego ruchu niepodległościowego stolicy Polski.

IV.

W takich warunkach wewnętrzno-politycznych nastąpił pierwszy przyjazd Józefa Piłsudskiego do Warszawy. Znalazł go w Krakowie tylko z widzenia, głównie od Michałika. Jako sekretarza Komitetu Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych wezwano mnie na zebranie do mieszkania p. Artura Śliwińskiego. Miało to być pierwsze zetknięcie Komendanta z przedstawicielami kierunków politycznych stolicy.

Gdy wszedłem do przedpokoju, stało tam gawędzić dwóch adiutantów w mundurach ulaskich, z amarantowymi rabatami — w półmroku zdawało mi się, że spłowiali w polu. Po meksku piękni, postawni, jakby wyszli z widzianych gdzieś starych portretów. Byli to Orlicz — Dreszer i Wieniawa Długoszowski. Przypinał, że krtań mi ścisnęła. Przywitałem się z dawnym znajomym Dreszerem, poznałem Wieniawę.

W saloniku osób było jeszcze bardzo mało. Komendant położył na kijać kanapie w szarej kurtce, w złotych sztychach. Miało 24 lata, byłem oniesmielony. Gdy zeznał się zaproszeni, Komendant przemówił. Twierdził, że legiony nie są wojskiem polskim, gdyż zalegał od obecnej komendy. Ze momentu uwolnienia stolicy winien się stać momentem zwrotnym zarówno dla politycznej jak i wojskowej strony sprawy polskiej. Żołnierz musi podlegać własnemu rządowi; dopóki rząd nie powstanie, dopóki nie będzie na to zgody państw centralnych — werbunek do legionów należy wstrzymać.

Po zebraniu ktoś zaprosił mnie do samochodu, zawiązał na inne zebranie, zdaje się na ulicę Świętokrzyską. Tam zebrali się ci, którzy stali najbliżsi krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego. Stanowiska Piłsudskiego nie podzielił. Twierdził, że rozrost liczebny legionów był warunkiem rozszerzenia polskich wpływów politycznych. Zebranie składało się z tych, którzy sprawę polską chcieli prowadzić w legalnych ramach austriackich; celem była nie całkowita niepodległość, lecz trójpaństwowa austro-węgiersko-polska. Nie mogli być wyznaczeni tego programu. Nazajutrz rano z Jędrzejem Morawcewskim, w kawiarni Francuskiej (później Kresowej), ułożyliśmy tekst odczytu, w której KSSN motywował konieczność wstrzymania werbunku. Był on natomiast prowadzony nadal przez Departament Wojskowy NKN z siedzibą w Piotrkowie. Zycie legionowe było rozwijane.

Od czasu owego pierwszego zetknięcia Komendant darzył mnie zaufaniem. Gdy bywał w Warszawie, rozmawiał ze mną często. Nie zawsze było to łatwe rozmowy. Czy nazwami to skrótami myślowymi, czy intuicją, czy też działaniem jakiegoś naczelnego rozumu — faktem jest, że Piłsudski dochodził do decyzji nie na zasadzie myślenia słowami, które się dają ułożyć w logiczne syllogizmy. Dopiero później myśli ubierał w słowa, by je podać innym. W rozmowie promieniowała z niego taka siła, chciałoby się powiedzieć magnetyczna, że bardzo było trudno jej się oprzeć, aby zachować własną autonomię myślenia. Toteż większość otoczenia z tej samodzielnością rezygnowała. Wyjątkiem był szef — Kazimierz Sosnkowski, który tworząc myśl Komendanta przeprowadzał przez swą zimną, przenikliwą, kryształową logikę i wówczas dopiero ją asymilował. Ja byłem wówczas młody i z własnej samodzielności dumny, więc się opierałem, dyskutowałem — a Komendant naówczas to lubił.

(Dokolenie art. na str. 5.)

* Art. „Wołna Szkoła Wojskowa“ w czasopiśmie „Miesięcznik Młodzieży Polskiej“, nr 1 (2), styczeń 1917 r. Warszawa.

* „O samodzielnej polityce polskiej“ j. w.

* Z broszurki R. C.: „6 sierpnia 1914 r.“ Warszawa, 1916.

** Ta i dalsze cytaty — z broszurki S. J.: „O samodzielnej polityce polskiej“, Warszawa, czerwiec 1916 r.

*** J. Piłsudski: „O warcie żołnierza legionowego“, Odczyty. Książkowe cytaty o żołnierzach — tegoż, a utwór.

POLSKA SYMBOLEM I PRZYKŁADEM

(Sprawy polskie w prasie rzymskiej)

Wjazd p. Mikołajczyka do Moskwy oraz p.d.ż. wojsk sowieckich p.d. Warszawę zbliżył się z uroczystym przyjęciem przez Ojca Św. Naczelnego Wodza gen. K. Sosnkowskiego, Dowódcę 2. Korpusu gen. W. Andersa oraz delegacji oddziałów polskich, które uczestniczyły w walkach we Włoszech. Okoliczności te sprawiły, że sprawy polskie były ostatnio szeroko omawiane w prasie rzymskiej wywołując wszakże dość jednolitą reakcję. O ile wyprawa p. Mikołajczyka do Moskwy spotkała się wszędzie niemal ze sceptycyzmem, a los Polski wzbudza dziś powszechnie obawy, słowa Papieża do żołnierzy polskich, ogłoszone w całości na naczelnym miejscu przez organ watykański „Osservatore Romano”, zostały potraktowane przez prasę włoską jako wydarzenie pozytywne, znamienne i niemające wagi.

„Il Quotidiano”, organ kł. katolickich, w artykule z 30 lipca stwierdzał, że „premier (Mikołajczyk) żyjący na uchodźstwie w Londynie, został zmuszony do udania się samolotem do Moskwy uzbrojony jedynie w siłę prawa, w przyjaźń dwóch największych potęg świata oraz w solidarność wszystkich narodów cywilizowanych. Lecz ponad oparcia ludzkie towarzyszy mu z Rzymu pełen życzliwości głos ducha”.

W związku z podróży p. Mikołajczyka „Osservatore Romano” ogłosiło najazutem po uroczystej audiencji w Watykanie delegacji oddziałów Korpusu, obszerny artykuł o całokształcie stosunków polsko-sowieckich. Jak wszystkie tego rodzaju rozważania ukazujące się na łamach pisma neutralnego państwa watykańskiego, artykuł miał charakter informacyjny i nie zajmował jaskrawego stanowiska, aczkolwiek tendencja jego była oczywista. Autor stwierdzał między innymi, że sprawa stosunków polsko-rosyjskich wysuwa się na „czł. zagadnienie międzynarodowych” i wyrażał nadzieję, że układ zawarty przez Moskwę z „Komiteciem Wyzwolenia Narodowego” (pryjaciół Wasilewskiej — przyp. red.) przysięgi premiera polskiego w obliczu sytuacji, która uczyni o ile nie bezużytecznymi, to co najmniej jeszcze trudniejszymi wszelkie rokowania.

Podając chronologicznie historię stosunków polsko-sowieckich w czasie wojny i przechodząc do ostatniej ich fazy „Osservatore Romano” stwierdzało:

„Rząd sowiecki uważa, że w pełni obowiązuje układ o rozbiórce Polski zawarty między Niemcami a Rosją w sierpniu 1939 r. Istotnie, jeden z komunikatów sowieckich wspominał, że wojska sowieckie wraz z oddziałami polskimi (organizowanymi w Moskwie przez oficera polskiego Berlinga), przekroczyły zał. chodni bieg Bugu i granicę rosyjsko-polską wkraczając na terytorium polskie. Takie stwierdzenie komunikatu sowieckiego sprzeciwia się jaskrawo punktowi widzenia Polski, która w tej sprawie zajmuje stanowisko diametralnie odmienne”.

Na zakończenie artykułu „Osservatore Romano” skreślił takie uwagi:

„Załatwienie sporu przekracza za swym znaczeniem sprawę stosunków między obu narodami. Dotyczy ono spraw znacznie rozleglejszych i uniwersalnych, sprawiedliwości i współpracy między narodami. Soko jednak oświadcza się, iż na polach walk toczy się bój o zapewnienie triumfu tym właśnie zasadom dla przyszłego dobra narodów — a Polska i Rosja walczą w tym samym obozie — należałoby sobie życzyć, by nie dochodziło do upadku tychże pojęć na polu dyplomatycznym, a później przy stole konferencji pokojowej. Tego rodzaju porażki miałyby bowiem następstwa moralne oraz pościągnęłyby skutki, które mogłyby poważnie zaszkodzić nie tylko owemu światu idealnemu dla którego osiągnięcia — jak głosi — chwycono za broń, lecz również podważyłyby zaufanie do przyszłego współżycia między ludźmi”.

Kropkę nad „i” postawił cytowany przez nas „Quotidiano” podając „w okienku” na naczelnym miejscu cytaty z artykułu Hilarego Belloc ogłoszone w „Weekly Review”:

„Jeżeli sprzymierzeni zdolają odbudować Polskę wolną i silną z dostępow do morza, z portami związanymi z państwem polskim, będą oni mogli powiedzieć, że wojnę wygrali. Jeżeli przeciwnie pozostawili los Polski w stanie nie zdecydowanym wówczas z całą pewnością woj-

na będzie dla nich przegrana. Pierwszy rozbiór Polski stał się przyczyną obecnego kryzysu. Wprowadził on barbarzyństwo do świata chrześcijańskiego, doprowadził po raz pierwszy do uznania gwałtu nad prawem międzynarodowym, a narodowi chrześcijańskiemu odebrał prawo do życia”.

Organ włoskiego stronnictwa „Akcji” reprezentowanego w rządzie przede wszystkim przez ministra Ciano, „L'Italia Libera”, ogłosił w dniu 30 lipca artykuł wstępujący p.t. „Warszawa”. Autor stwierdza, że w przeciwieństwie do Pragi i Wiednia Warszawa była pierwszą stolicą europejską, która nie poddała się Hitlerowi bez walki.

„Armia polska (w r. 1939) została zgnieciona w ciągu kilku dni. Rosja została zaspokojona zaprojektowanym rozbiorem Polski, wojnę zakończono na wschodzie. Lecz Warszawa nie upadła bez walki. Łuny pożarów, które oświeciły jej upadek stały się pierwszym sygnałem wewnętrznego oporu narodów niezłomnych, przeciwstawiających się totalitarnej przemocy.

Polacy walczyli na wszystkich frontach i Hitler musiał rozciągnąć stopniowo las narzucony Polsce na inne narody Europy kontynentalnej, również bowiem wśród tych narodów, które początkowo poddały się Hitlerowi ze względów dyplomatycznych, lub w skutek zdrady, rozbił się ruch obrońców Warszawy”.

Autor uważa, że ofiary Warszawy i Polaków nie powinny być daremne.

„Oczywiście — pisze — sytuacja polityczna i dyplomatyczna Polski wydaje się mniej silna i mniej „znakomita” niż w okresie poprzedzającym jej opór i wojnę. Lecz mimo wszystko Polska żyje. Przez swój opór w 1939 r. który strecza się w imieniu Warszawy, Polska zdobyła sobie raz jeszcze, tak jak w okresie jej bohaterstwa powstała w ubiegłym stuleciu, prawo do wiecznej pamięci w sumieniu europejskim”.

Mówiąc o różnych planach organizacji Europy „L'Italia Libera” zaznaczała, że jakkolwiek będzie ich los, pozostanie „trwała treść duchowa narodów, które nie

dadzą się wtłoczyć w ustalone z góry schematy”. Warszawa jest „symbolem niezniszczalnej żywotności narodów europejskich”.

Inaczej o Warszawie pisze komunistyczne pismo „Unita”, które bez komentarzy przytoczyło artykuł moskiewskiej „Prawy” z takim ustępem:

„Bliżki jest radosny dzień, kiedy armia sowiecka wraz z wojskiem polskim kierowanym przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (chodzi o Wandę Wasilewską i spółkę — przyp. red.) odda narodowi polskiemu jego stolicę”.

Należy stwierdzić, że Warszawa — nawet w wypadku zajęcia jej przez wojska sowieckie — nigdy nie będzie własnością armii czerwonej, jak nie była i nie jest własnością armii Hitlera. Łaskawe „oddawanie” stolicy narodowi polskiemu jest zatem zupełnie zbyteczne. Warszawa ani przez chwilę nie przestała być własnością całej Polski, a obecność w jej murach takich czy innych wojsk okupacyjnych w niczym nie może zmienić tej sytuacji. Nie heroizmy armii czerwonej Warszawa, a z nią Polska zawdzięczać będą wolność, ale bohaterstwu i ofiarom Polaków, duchowi nieugiętości i wolności, którego stolica Polski stała się tak wspaniałym symbolem. Wolność swą — wolność prawdziwą — chcemy zawdzięczać tylko sobie.

W „Ricostruzione” organie Demokratycznej Partii Pracy ukazał się artykuł pod nagłówkiem „Polonia Restituta”. Autor chce widocznie okazać dobre wolę, lub być może zbyt dobrze poinformowanym, wyrażał nadzieję, że dojdzie do porozumienia między Polską a Rosją i że w wyniku powstanie nowy rząd polski typu jugosłowiańskiego, z udziałem komunistów... Pismo zaznaczało dalej:

„Polska, ku której zmierzają wszystkie nasze sympatie i którą tłumy Rzymian uczcili oklaskami w ubiegłą niedzielę, również dlatego, że synowie jej walczą ramię przy ramieniu na tym samym odcinku obok Wołchow z Korpusu Wyzwolenia, winna stać się państwem wolnym i niezależnym. Lecz — dodaje pismo — sprawa ukraińska winna być rozwiązana”.

Autor porusza sprawę Ukraińców w Pol-

sce, przypominając układ przyjaźni Piłsudski-Petlura, wyraża pretensje, że w tej sprawie polski (samozał. wyz. wolności) zachowuje milczenie. Dodaje jednak w końcu taką uwagę:

„Nie wiemy, w jaki sposób zagadnienie ukraińskie będzie mogło być rozważane i czy projekt wielkiej Ukrainy sowieckiej odbije się pozytywnym echem w sercach Ukraińców polskich, lub też mieszkających w Czechosłowackiej Żużi Podkarpackiej”.

Wątpliwości pisma włoskiego w sprawie stosunków Ukraińców do Sowietów są w pełni uzasadnione. Nie jest tajemnicą dla nikogo, kto jako tako zna to zagadnienie, jak te sprawy przedstawiają się w rzeczywistości rzeczywistej.

Artykuł kończy się stwierdzeniem, że sprawa granicy polsko-sowieckiej ma zasadnicze znaczenie. Od sposobu jej załatwienia zależy bowiem „przyszły pokój świata”. „W Europie, stwierdza pismo, którą pragnęlibyśmy widzieć sferowaną, miejsce Polski Odrodzonej winno być dobrze ostalone. Chodzi tu o jej i o naszą przyszłość”.

Pisma włoskie słusznie zatem spostrzegły, że w sprawie uregulowania stosunków polsko-sowieckich zainteresowana jest nie tylko Polska, ale i cała Europa i wszystkie narody kontynentu. Polska jest tu tylko symbolem i przykładem. Niestety, wiele bałamuctw i nieporozumień szerszy się obecnie na temat „oswobodzenia” narodów europejskich. Nic dziwnego, że budzi to wzrastającą nieufność w świadomości i niezależnych umysłach europejskich. Niepokój ten odzwierciedla się również w prasie włoskiej. M. in. „Il Tempo” uczyniło niedawno taką uwagę:

„Armia rosyjska ma rozmach. Dziś stanęła na przedmieściach Warszawy. Za kilka dni wejdzie do Prus Wschodnich. Odnosi się wrażenie, że jest to marsz, który nie zatrzyma się nigdy. Cała Europa stała się zbyt mała, by zatrzymać armię, która nie tylko chce zniszczyć nazizm, ale również zmienić oblicze świata”.

Również w „Il Tempo” ukazał się artykuł omawiający powstanie pewnych komunistycznych tendencji w łonie włoskiego stronnictwa chrześcijańskiego demokracji. Artykuł zawierał ustęp następujący:

„Między Rygą a Lwowem, między Wisłą a Bugiem rozgrywa się w tej chwili losy raczej moralne niż polityczne kontynentu europejskiego. Zamachowcy na życie Hitlera zostali zmiążdżeni przez SS. A SS, wraz z ich komendantem Himmlerem, są za porozumieniem z Rosją, a przeciw pokojowi ze sprzymierzeńcami zachodnimi. Sto tysięcy jeńców niemieckich pod dowództwem gen. Seilitza, którego Stalin wezwał, by posuwał się za dywizjami rosyjskimi, chcą, by te oddziały niemieckie weszły do Prus, gdy otwarta będzie granica niemiecka od wschodu, są symbolem ewentualnego przyszłego współdziałania niemiecko-słowiańskiego. Związek ten uzewnętniał tylko dualizm etniczno-kulturowy Niemiec, gdzie zawsze ścierały się wpływy Zachodu i Wschodu. W obliczu tak olbrzymich możliwości, które otwierają się na widnokręgu, ci, którzy przemawiają w imieniu chrześcijaństwa, a zwłaszcza chrześcijaństwa rzymsko-katolickiego, mają obowiązek mówić o komunizmie nie tylko przypominając owego „in. negro proletariusza, takiego samego Żyda, jakim był Marks, proletariusza, który dwa tysiące lat temu utworzył międzynarodową opartą na równości i braterstwie powszechnym oraz na ojcowiskim panowaniu Boga”.

Może te obawy i te bałamuctwa skłoniły „Quotidiano” do uwagi, którą zamykamy nasz przegląd:

„Mowa Piłsudskiego do Polaków wskazywała drogę zbawienia i odrodzenia również dla Włoch, którzy mają wspólną z Polską wiarę, uczucia i nadzieję. Wskazywała ona drogę także innym ludom zamieszkującym tę okrutną planetę, ludom proszącym Boga, by poprzez ekspiację powszechną i przegromną uwolnione zostały ostatecznie i na zawsze od przekleństwa bratobójstwa”.

A tymczasem czczona przez świat Warszawa ponie już po raz drugi w czasie tej wojny...

Stanisław Janikowski

D. I

W 30. ROCZNICĘ WYMARSZU

(Dokończenie ze str. 4).

Zadnych notatek z rozmów nie robiłem, przede wszystkim ze względów bezpieczeństwa. Rozmowy te dotyczyły przeważnie nie codziennych spraw i kłopotów politycznych i po wielu latach nie są do zrekonstruowania. W pamięci zostało tylko parę fragmentów. Pamiętam np., jak przy mnie Komendant opowiadał p. Stanisławowi Libickiemu, jak to w 1905 r. próbował porozumienia z narodową demokracją. „Chciałem — mówił — by raz oni pociągnęli za sznurkę w Petersburgu, o drugi raz ja za sznurkę rewolucyjny w kraju”. Do porozumienia jednak nie doszło.

W 1917 r., gdy pracowałem w Departamencie Stanu Tymczasowej Rady Stanu, utarł się zwyczaj, że codziennie koło południa chodziliśmy do Komendanta na Mazowiecką, na rozmowy o bieżących sprawach politycznych. Najczęściej była to tylko wymiana informacji. Z tej serii pamiętam tylko ostatnią rozmowę. Był to jej zrozumiał, muszę powrócić na chwilę do spraw wojskowych. Zajęcie Warszawy nie dało Polsce rządu narodowego, nie dał go również akt państw centralnych z 5 listopada 1918 r. Władze te dnia 9 listopada wydały odezwę zarządzającą werbunek do wojska polskiego. Centralny Komitet Narodowy (lewica niepodległościowa) najazutem wystąpił przeciw werbunkowi, a w dniu 25 listopada wydał odezwę, w której m.in. stwierdzono: „Nam nie wystarczy biały orzeł na sztandarze, gdy nie nasza dłoń go dźmierzy i do rąk polskich oddać się go waha. My wiemy, że sił mamy dosyć, by sztandar walki o wolność narodu własnymi rękoma podźwignąć”. Jedynie rząd polski może być szafarzem krwi polskiej”.

To stanowisko obóz niepodległościowy utrzymywał konsekwentnie i niezmienne. Sprawy wojskowe komplikowały się jednak — obóz austrofiński był za werbunkiem; przy generał — gubernatorze Beselerze utworzyła się nowa, choć nieliczna, jednostka wojskowa polska — Polska Siła Zbrojna, Polnische Wehrmacht. W rozlokowanych po obozach oddziałach legionowych atmosfera w r. 1917 stawała się coraz dżiejniejsza. Władze państw centralnych za-

dały od nich nowej przysięgi. W tych warunkach poszedłem na Mazowiecką, rozmówiłem się z Komendantem o sprawie wojska.

Zastanawiałem tam p. Artura Siłwińskiego, który w dyskusji brał mały udział, starał się ją łagodzić, lecz Komendant do tego nie dopuszczał. Powiedziałem, że sytuacja w wojsku jest nie do zniesienia. Trzeba się zdecydować, albo na jakiejś ułożenie sprawy z Niemcami, albo na krwawą wojnę. Siłwiński z Komendantem rozdzielili przez wąski stół. Zapaliliśmy się obydwaj. Komendant się rozkrzyczał, ja podtrzymałem swoje i wówczas usłyszałem najbardziej wewnętrzny sąd Komendanta o społeczeństwie. Mówił, że społeczeństwo polskie jest jak piasek. Brnie się, brnie się, buty grzeszą, lecz zawsze w końcu natrafi na kamień. Wówczas można się na nim oprzeć i coś zrobić. Chwila taka jednak jeszcze nie nadeszła.

Wypadki potoczyły się swoją koleiną. Naczelna myśl Komendanta i obozu niepodległościowego było, że bez odebrania ziem polskich Rosji nie może być mowy o utworzeniu niepodległej Polski. Walczyliśmy więc z Rosją. Gdy nowi okupanci do utworzenia rządu i wojska w Królestwie nie dopuścili, a gdy równocześnie byli zaborcami innych ziem polskich — ruch niepodległościowy musiał pozostać w podziemiach i front walki przeciwko nim zwrócić. Po upadku Rosji stawiali się oni głównym naszym wrogiem: to oni trzymali w rękach Polskę wraz ze stolicą, to oni stali na drodze do niepodległości. Wojsko w podziemiach ukryć się nie mogło. Znalazło się za drutami obozów, a Piłsudski i Sosnkowski — Komendant i Szeł — w Magdeburgu. Zdawać się mogło, że piękny etap pracy nad odbudową niepodległego państwa skończył się z honorem, ale bez powodzenia. A jednak było inaczej. W następnym już roku państwa centralne przegrały wojnę. Piłsudski i Sosnkowski wrócili z Magdeburga. Piłsudski stanął na czele państwa. Powstał rząd Rzeczypospolitej.

Zaczął się okres niepodległości państwa.

ROZHOWORY W MOSKWIE

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

P. Mikołajczyk od kilku dni bawi w Moskwie. Przybycie jego nie towarzyszyły fanfary powitane. Mikołajczyk krótko przed jego przyjazdem odbył się jeden z owych sławnych bankietów na Kremlu, wydany tym razem na cześć towarzyszy i towarzyszek z polskiego „komitetu wyzwolenia”, z gen. Żymirskim na czele, skazanym ongiś w Polsce na karkulenie więzienie.

P. Mikołajczyk, szef legalnego rządu polskiego, musiał zadowolić się przyjęciem znacznie skromniejszym. Po rozmowach, które odbywał z anonimowymi urzędnikami sowieckimi, został on wreszcie dopuszczony do p. Molotowa, z którym odbył półgodzinną rozmowę. Premier zapewniał prasę, że rozmowa odbyła się w dużej serdecznej przyjaźni. W dwa dni potem p. Mikołajczyk wprowadzony został do marszałka Stalina, z którym rozmawiał przez dwie i pół godziny. Na temat tej rozmowy nie wydano dotąd żadnego komunikatu, natomiast „The Stars and Stripes” podało, że polski premier i jego minister spraw zagranicznych Tadeusz Romer opuszczali Kreml w „pogodnych nastrojach” („jovial spirits”). Dziennikarzom p. Mikołajczyk oświadczył, że ma również zamiar rozmawiać z członkami samowyzwolenia „komitetu wyzwolenia”.

Tymczasem owy „komitet” szarogłose się na okupowanych przez wojska sowieckie ziemiach polskich jak na swoich własnych, występując tam w roli rządu i nie licząc się zupełnie z obecnością w Moskwie legalnego premiera polskiego. Według doniesień Reutersa z Moskwy, komitet owy ustanawia nie tylko swe władze administracyjne w województwie lubelskim i na ziemiach leżących między Bugiem a Wisłą wprowadzając lokalne rady ludowe, czyli po prostu sołtysy, ale ponadto powołuje tam „milicję ludową”, złożoną z członków organizacji partyzanckich podległej rozkazom Moskwy. Jednocześnie, już w okresie pobytu p. Mikołajczyka w stolicy Rosji, nastąpiła wymiana przedstawicieli dyplomatycznych między rządem sowieckim a „komitetem wyzwolenia”, który za swego reprezentanta w Moskwie obrał usunętego swego czasu przez Polską Akademię Literatury w Warszawie z grona akademików za popalenie plagiatu — Wincentego Rzymowskiego. A zatem rząd sowiecki, choć zgodził się na przyjazd do Moskwy Mikołajczyka, jeszcze raz dobitnie podkreślił, że zamierza uznawać jedynie samowyzwolenie „komitetu wyzwolenia” i że tego narządziec swą politykę w sprawach polskich nie da sobie z rąk wyjąć.

Powstaje zatem pytanie, co w tych warunkach zamierza osiągnąć p. Mikołajczyk? Nieznamy są nam plany premiera rządu polskiego i dlatego musimy ograniczyć się do wiadomości prasowych. A tych jest sporo. Wszystkie jednak w różnych wariantach powtarzają punkty żądań rosyjskich. Pismo rzymskie „Il Quotidiano” streściło je w powołaniu się na prasę moskiewską w sposób następujący: 1) uznanie „polskiego komitetu wyzwolenia”, 2) likwidowanie władzy rządu polskiego w Londynie, 3) bezwzględne podtrzymanie rewindykacji sowieckiej do ziem polskich okupowanych przez Rosję we wrześniu 1939 roku.

Ten ostatni punkt świadczy, że Moskwa domaga się od szefa rządu tego państwa — które, jak to do znużenia powtarzano w prasie światowej, nie wydało quislinga — uznania dla takiej wschodniej granicy polskiej, którą raczył wykreślić p. von Ribbentrop, albowiem jego podpis widnieje pod paktem rozbioru Polski z r. 1939. Moskwa pragnie zatem, aby do podpisów, które figurują pod tym snutym dokumentem, a więc do nazwisk Ribbentropa i Molotowa dołączył jeszcze nazwisko Stanisława Mikołajczyka. „The Stars and Stripes” w depeszy z Londynu z dnia 1 sierpnia podawała takie informacje:

„Polityczni obserwatorzy w stolicy Rosji wyrażają zdanie, że spodziewane rozmowy w Moskwie mogą doprowadzić do przeniesienia siedziby rządu polskiego do Warszawy, gdyż tylko stolica zostanie wyzwolona. Premier Stalin gotów był przyjąć misję polską, gdyż według londyńskiego „Daily Telegraph” rząd polski wyraził z góry zgodę na główne żądania sowieckie li, cząc się z szybkim postępem armii czerwonej w Polsce. P. Mikołajczyk, jak twierdzą, gotów jest uznać „linię Czuma” za „tymczasową linię demarkacyjną”, z tym, że ostateczne ustalenie granicy polsko-rosyjskiej nastąpiłoby po wojnie”.

O ile informacje te byłyby prawdziwe, linia demarkacyjna Mikołajczyka pomyślna najpierw „na wschód od Wilna i Lwowa” przesunąłaby się diabło szybko na zachód.

P. Mikołajczyk działa oczywiście w Moskwie na swoją przed wszystkim odpowiedzialność. Jest on jednak na pewno świadom, że jako szef rządu nie może uszczu-

plić, ograniczyć lub pozbawić się części terytorium, suwerenności i legalności państwa polskiego. W szczególności nie zgodne z prawem państwowym byłoby przyjęcie do rządu polskiego narzuconych z zewnątrz osobistość, niezależnie od tego, czy nastąpiłoby to w formie wprowadzenia ich do rządu polskiego w Londynie, lub też wejścia niektórych lepiej strawnych ministrów z Londynu do „komitetu wyzwolenia” w Moskwie.

O nieskutecznym rad sposobie

Z mowy wygłoszonej przez premiera Churchilla w Izbie Gmin wynikało, że rząd angielski widzi właściwe rozwiązanie kryzysu polsko-rosyjskiego w połączeniu polskich czynników niezawisłych — niezależnie od jakich należał stronić — z elementami komunistycznymi połączonymi w Moskwie. Premier Churchill uważając za nieznaną nam przyczyną chwilę obecną za szczególnie pomyślną dla likwidacji sporu polsko-rosyjskiego, wyraził takie zdanie:

„Sprzymierzni byliby szczęśliwi, gdyby doszło do połączenia wojsk polskich walczących przy boku mocarstw zachodnich z tymi, które walczą u boku Rosji. Posiadamy wiele dzielnych polskich dywizji, które walczą na zachodzie, istnieją inne, które walczą w Rosji. Niech się połączą”.

Nie wiemy na razie, co oznaczają bliżej owe rady. Czy p. Churchill myśli o podporządkowaniu komunistycznym bojów w Polsce legalnym siłom zbrojnym Rzeczypospolitej, w szczególności Komendantom Armii Krajowej, czy też przeciwnie, ch. d. mu o rozciągnięcie kompetencji gen. Żymirskiego, czy jego zastępcy Berlinga, na Armię Krajową oraz na polskie siły walczące za granicami kraju. Pierwsza ewentualność: wydaje się nam na razie nie realna, druga jest dla nas nie do przyjęcia. Nie dlatego, że moskiewska „Prawda” raczyła oznajmić, że tylko ci, którzy okazali będą lojalność: polskiemu „komitetowi wyzwolenia”, będą mieli prawo powrotu do kraju. I nie dlatego, by żołnierze polscy walczący u boku Rosjan byli gorszymi żołnierzami i Polakami od tych, którzy walczą na zachodzie, bo żołnierze i tu i tam myślą, jak wierzymy, tak samo, ale dlatego, że tamci poddani są kierownictwu, które dąży do zniszczenia Polski niepodległej i suwerennej chcąc uczynić z niej republikę o ty. i. sowieckim, republikę, która pręży się i żniej dożyłaby do wcielenia w ramy Związku Sowieckiego. Zagadnienie łączenia suwerennych sił w Polsce i walczących na zachodzie z tymi, które zorganizowała Rosja z własnej inicjatywy nie może być traktowane na płaszczyźnie bieżącej, co promisy partyjne, lub wytworzenia jakiejś nowej konfederacji z Walka to, czy się o co innego, o sama racja Polaki, o czy to, czy będzie ono państwem niepodległym, czy lennym, państwem żyjącym własnym życiem niezawisłym, czy też życiem obcego kulturowo kolosa. Otóż mimo wszystkich nieszczęść, które wala się na nasz kraj od lat pięciu, nie zabraknie nigdy Polaków, którzy potrafią ideę niepodległości podtrzymać w najcięższych warunkach.

Premier Churchill byłby łaskaw powiedzieć, że należy dążyć do utworzenia Polski przyjaźnej wobec Rosji”. Nikt z Polaków nie dąży do tworzenia Polski wrożej wobec Rosji. Ale przyjaźń między obu narodami będzie tym większa, im wyraźniej odgródzone one będą od siebie zarówno pod względem ideowym i kulturalnym, im sprawnie stworzone będą warunki, by każdy z nich mógł żyć swoim życiem bez wewnętrznego mieszania się w sprawy wewnętrzne drugiego. Jeżeli granice te zostaną zatarte, gdyby na ziemiach polskich grasowały organizacje polityczne czy wojskowe obce, musiałoby dochodzić, co stwierdzała trzeciowiejsza prasa brytyjska („Daily Mail”), do nieustannej „wojny domowej”.

Czy zmiana taktyki niemieckiej?

Na razie wszakże Polska jest terenem ponurych przemarszów sił zbrojnych tych mocarstw, dla których prawdziwa jej niepodległość jest co najmniej obojętna. Przemarsze te znaczą nowe luty pożarów, a nowe nieszczęścia spadają na nasz naród. Niemcy co prawda zatrzymali Rosjan przed Warszawą, lecz wojskom sowieckim udało się sforsować Wisłę pod Sandomierzem, gdzie podobno szybko prz. napród.

Sytuacja przedstawia się dla Niemiec bardzo ciężko, mimo to propaganda Rzeszy nie przestaje szerzyć wiary w możliwość

zmiany charakteru walk. Argumenty ich wszakże nie są zgodne między sobą. Radio niemieckie rozpowszechniało przez pewien czas komentarz głoszący, że radykalne skrócenie frontu na wschodzie pozwoli Niemcom opanować sytuację. Jeżeli jednak Niemcy zamierzali skrócić front, powinni byli, jak to podkreślił w swej mowie premier Churchill, zdecydować się na to wcześniej. Dziś siły ich na wschodzie ulegają rozbiuciu. Nowy szef sztabu niemieckiego gen. Guderian wyraził w oficjalnym oświadczeniu pogląd, że sytuacja na froncie wschodnim nie jest dla Niemców alarmująca. Oznajmił on, że przygotowane jest przeciwdziałanie niemieckie i że sowiecka ofensywa zostanie zatrzymana. Inne argumenty wysunął Goebbels i komentator radiowy gen. Dittmar. Pragną oni wzmożenia wysiłku wojennego całego społeczeństwa niemieckiego. Gen. Dittmar uważa, że Niemcy będą musieli pójść śladami Rosji i uciec się do najbardziej drastycznych form gospodarki wojennej. Efekty wszakże tej dalszej rewolucji gospodarczej i społecznej w Niemczech okazałyby się dopiero po pewnym czasie. A tymczasem fronty niemieckie trzeszczą.

Kesselring fanatycznie bronił Florencji, lecz w Normandii Amerykanom udało się w końcu przełamać linię frontu i poczyniło po raz pierwszy od czasu inwazji na Francję błyskawiczne postępy i zajęć Rennes, stolicę Bretanii. Linia frontu we Francji wydłużyła się znacznie. Wojska anglo-amerykańskie zdobyły wreszcie, co zamaczył p. Churchill, przestrzeń potrzebną do manewru. Gdyby postępy te rozwijały się nadal, doczekalibyśmy się sensacyjnych wydarzeń we Francji. Opanowanie jej przez siły anglo-amerykańskie nie pozostawiało bez wpływu na przebieg wypadków w Europie i na układ sił politycznych na kontynencie. Premier Churchill nie bez powodu mówił zapewne, że walki we Francji są dowodem „braterstwa wielkich demokracji zachodu oraz narodów mówiących po angielsku”.

Nie wiadomo jednak, jak dalece postępowanie sztabu niemieckiego wypływa z konieczności ściśle wojskowych, a ile w nim jest gry politycznej. Dotychczas Niemcy sądzili, że z różnych, przeważnie politycznych względów, należy Rosjan wpuszczać w głąb Polski, a główny opór stawiać Anglosasom na zachodzie. Czyżby dziś doszli do wniosku, że w taktyce tej posunęli się za daleko i że należy ją zmienić?

Finlandia i Turcja

Wydarzenia wojenne, zwłaszcza na froncie wschodnim, pociągnęły w ubiegłym tygodniu dwa ważne następstwa polityczne. Objęcie stanowiska głowy państwa Finlandii przez marszałka Mannerheima tłumaczone jest oficjalnie w Helsinkach koniecznością skupienia władzy cywilnej i wojskowej w jednych rękach.

W rzeczywistości możliwe jest diametralnie odmienne wyjaśnienie.

Były prezydent Ryti uchodził za jednego z duchowych i bezkompromisowych przywódców oporu fińskiego. On to przeciw przed paru tygodniami pertraktował głów. nie z ministrem spraw zagranicznych Rzeszy v. Ribbentropem. Pod wpływem p. Ryti zawarto wówczas formalny sojusz militarny fińsko-niemiecki.

Dymisja b. prezydenta nie może zatem oznaczać porzucenia się człowieka ugodowego.

Czy natomiast sędziwy marszałek Mannerheim, uchodzący w swym kraju za bohatera narodowego, pragnie odegrać rolę marsz. Petaina widząc trzeźwo, że wojna jest przegrana? Byłoby to w stylu postępowania niektórych starych generałów, zwłaszcza szkoły pruskiej, uważających, że nie należy przedłużać walk militarnie bez nadziei. Von Hindenburg i Ludendorff w Niemczech czasu tamtej wojny, Petain we Francji w r. 1940. Badoglio we Włoszech w r. 1943, wykreśliли tu metodę postępowania, której przeciwnikami się w wielu krajach ludzie stawiający względnie ideowe i moralne ponad techniczne. Czy marsz. Mannerheim pragnie pójść śladami tamtych wodzów? Marszałek-prezydent staje w obliczu ciężkich zagadnień.

Gdybyśmy mieli opierać się na dość rozpowszechnionych przewidywaniach, że Turcja przystąpi do wojny na podnie przed jej zakończeniem, musielibyśmy uznać decyzję zerwania przez nią stosunków z Rzeszą za zapowiedź zbliżającego się finału wojny z Hitlerem. W istocie nie wiadomo jeszcze, czy do wojny niemiecko-tureckiej dojdzie, a raczej wszystko wskazuje na to, że rząd niemiecki w tej chwili

nie zaryzuje otwarcia nowego frontu na Bałkanach.

Braku zapadu do wojny świadczy również fakt, że Turcja nie zamierza zerwać stosunków dyplomatycznych z Węgrami, Rumunią i Bułgarią. Związki stosunki bałkańskie — tureckie są ważne, gdyż Rzesza mogłaby bić się na lądzie z Turcją w praktyce jedynie poprzez terytorium bułgarskie. Tymczasem Bułgaria czyni dalsze ustępstwa Sowietom zezwalając im na otwarcie konsulatów w portach Morza Czarnego. W tych warunkach nie wydaje się możliwym nacisk na Ankara, by zerwała z Bułgarią, skoro z krajem tym utrzymuje stosunki Moskwa. Nie wiadomo zresztą, czy Rosja byłaby zadowolona z uderzenia Turcji i stojących za nią mocarstw anglosaskich na Bułgarię, którą traktuje jako swoją sferę wpływów.

Jest rzecz dość znamienita, że p. Saradoglu uzasadniając w parlamencie tureckim decyzję zerwania z Niemcami wywołał oburzenie, jak bardzo Turcja przywiązana jest do pokoju. Drugim motywem jego przemówienia było przypomnienie losu średnich i mniejszych mocarstw europejskich miażdżonych w czasie tej wojny przez siły totalitarne. Premier wymienił tu Polskę na miejscu pierwszym. Widać, że los tych państw nadal żywo Turcję obchodzi. W obozie sprzymierzonych Ankara będzie również orędowniczką sprawą mniejszych narodów. Wreszcie tracimy punkt który mogło być stwierdzenie, że Turcja postanowiła zerwać stosunki dyplomatyczne z Rzeszą na życzenie W. Brytanii, która powołała się na postanowienia traktatu sojusznictwa brytyjsko-tureckiego. Stany Zjednoczone poparły stanowisko Londynu. Turcja zerwała z Niemcami wyłącznie jako aliantka W. Brytanii. Stwarza to jeszcze jedną analogię z nami.

Można natomiast przewidywać, że Turcja zezwoli obecnie na powstanie baz anglo-amerykańskich na swym terytorium i że wzmocnienie zostanie zbrojenie jej armii przez inościan anglosaskie. Turcja od dawna stała na stanowisku, że dla zaryzykowania wojny i obrony cieśnin przed jakiegokolwiek napadami, musi być uzbrojona. Skarżyła się, że pomoc anglo-amerykańska w tej dziedzinie była dotąd niedostateczna.

Premier Churchill zapowiedział w swej mowie, że w razie uderzenia niemieckiego na Turcję może ona liczyć na pomoc anglosaską. Premier brytyjski natomiast dość znamienne wyrażał w swej mowie „nadzieję”, że nowy krok Turcji „przyniesie” jej do utrwalenia przyjaźni turecko-sowieckiej”. Otóż w tej dziedzinie stoimy wobec zagadki, od której zależy dalszy rozwój stosunków na Bliskim Wschodzie. Dotąd nie wiadomo bowiem, jak Rosja ustosunkowuje się w praktyce do nowej sytuacji w Turcji. Czy nie zażąda również dla siebie b. i gwarancji od Ankary?

Żili i do brzy komunści

P. Churchill nie mówił obszernie o kłopotach, z którymi W. Brytanii musi porać się w Grecji. Stwierdził tylko, że rząd grecki p. Papandreu „jest przedstawicielem niemal wszystkich głównych sił walczących w Grecji”. Lecz przeciw temu rządowi — rzędowi legalnemu — zbuntowała się, jak wiadomo, bojowa organizacja komunistyczna w Grecji tzw. E.A.M. Zjawisko to zresztą nie jest osobno, nawet dość rozpowszechnione w okupowanych krajach europejskich. O ile wszakże wartościowość bojowej komunistycznej w Jugosławii czy Polsce wywołuje w Anglii jedynie rady szukania porozumienia z dywersantami, ich wycyzyn w Grecji, nie licząc się zupełnie z paktem międzypartijnym zawartym w Libanie, budzą w kołach londyńskich coraz większe zaniepokojenie. W ostatnim swym oświadczeniu w Izbie Gmin min. Eden powracając do tego zagadnienia zaznaczył, że jeżeli „partyzanci” w Grecji uchylają się będą dalej od współpracy z legalnym rządem Grecji, „polityka rządu angielskiego wobec nich, wraz ze sprawą ich zaopatrywania, będzie musiała być poddana ponownemu zbadaniu”. Min. Eden zaznaczył ponadto, że rząd angielski pozostaje w ścisłym kontakcie z legalnym rządem greckim i że między obu gabinetami nie istnieje żadna sprzeczność poglądów.

Jeden z lewicowych posłów Labour Party postawił w odpowiedzi na te wywolenia dość logiczne i uzasadnione, zdawałoby się, pytanie, czy między partyzantami i Grecją a partyzantami jugosłowiańskimi i Tito istnieje związek oraz podobieństwo, lecz min. Eden energicznie przeciwstawił się takim stwierdzeniom. Okazuje się, że zwolennicy Tito to są „dobrzy” komuniści, a członkowie greckiej organizacji E.A.M. to są „zli” komuniści. Wydaje się, że w mniemaniu niektórych naszych angielskich przywódców grasują na terenie Polski wyłącznie „dobrzy” komuniści...

ŚLEPOGRATY LATAJĄ NAD LONDYNEM

(Korespondencja własna „Orła Białego” z Londynu)

Szturm na Monte Cassino... Wdarcie się do klasztoru... Jakże to frapowało imaginację... Jak żądnymi byli wszyscy szczegółów... Marsz na Rzym... Zajęcie Rzymu... nie mówiono już o niczym innym...

Ale oto przyszła inwazja i reflektor ogólnej uwagi został skierowany na Normandię. Opanowanie nowej obory we Francji więcej interesowało niż zajęcie nowego miasta w Italii.

Trzasnęły pierwsze bezpilotowe samoloty i z miejsca zawiądywały umysłami wszystkich. W Londynie języki męły już tylko o nich.

Życie przeciętnej krowy jest dłuższe, niż życie sensacji wojennej.

Jak je nazywał

Nazwa, której nikt nie używa, to: „Tajemnicza broń”.

Niemcy zwą swe paskudztwa pieszczołtliwie „kiwik”, lub groźnie „dynamitowe meteory”, czy też „psy z pickla”.

Anglicy mówią: „bezpilotowe samoloty”, „robot-bomby”, „latające bomby”, „samolot w jedną stronę”, „buzz-bomby”.

Wśród Polaków lansowano: „samolot-widmo”, „skrzydłata bomba”, „pocisk rakietowy”, „wariat”.

Oczywiście nazwa powinna być barwniejsza i obelżywsza. Użyłem słowa „ślepegroat” i radio je podchwyciło. Ale nie mogę się chełpić, aby wesoło to w powszechne użycie. Większość ludzi mówi po prostu: „To świątynio”!

Antypatyczne maszyny

Londyńczycy są twardym narodem i zaznali więcej bomb, niż normalni żołnierze frontowi. Byłe nalożone nie zdenerwuje się londyńczyków.

Ale ślepegroaty są co innego. Fakt, że maszyna leci, a pilota nie ma, działa na wyobraźnię. Nie wiadomo dlaczego zresztą, schody ruchome w kolekcje podziemnej tej samej się wciąga bez kierowcy i nikogo to nie przeraża. Tymczasem samodzielnosc „buzz-bomby” wydaje się tajemnicza i złowieszcza.

Stara to prawda, że ludzie najczęściej się boją tego, czego nie mieli nigdy okazji bać się przedtem.

Ślepegroat leci stosunkowo nisko i robi więcej hałasu niż kolumna samochodowa. Słyszysz się dalekie brzęczenie, które rośnie i rośnie, aż przechodzi w szpazmatyczny warkot, podobny do szumu dwutakowego motocykla, pracującego na pełnym gazie. Buczy draństwo nad samą głową, jak pikuś samolot i człowiek tylko myśli: „Był nie stał motor teraź?”. Bo gdy silnik gaśnie, ślepegroat wali się na ziemię, prosto na mordę tym, co go słyszeli przed chwilą tak dokładnie.

Wipe z właściwą ludzmi miłością bliźniego wszyscy się modlą, by buzz-bomba powarzczała jeszcze, przemknęła, przelichla, zamikla gdzieś daleko. Wtedy słychać donośny, głuchy grzmot i wzdycha się z ugięciem: „No, już spadła”. Gdzieś indziej, na ulog.

Z okien wyższych widać, jak się wznosi słup dymu i kurzu. I rozważa się spokojnie: „— To na Kensington! Nie, to na Hammersmith”. Czarna chmura powoli się rozwija, tytło Londynu wraca do normy i po ślepegroatie w olbrzymim mieście nie ma więcej śladu, niż po liście błota ciśniejącego do jeziora.

Cały człowiek jest smtelcem, ale jednak słuch jest w nim jeszcze najulomniejszym przyrządem. W nocy, gdy nerwy są specjalnie naprężone, ślepegroat się mnoży i rozrasta, jak stonoga. Co zawarczy paskudztwo, każdy przysięga: „Przeleciał akurat nad naszym domem!”. Ponieważ w Londynie jest przeszło pół miliona domów, więc nawet Goebbels nie śmiałyby takiej bredni rozgłaszać. Ale strach ma wielkie uszy.

Obowiązkowość Anglików

U Anglików decyduje poczucie obowiązku. Byłem na wysiegach psów. Nad terenem przelatywały ślepegroaty. Publiczność chroniła się pod trybuną, natomiast bookmacherszy stała nieporuszona na swych stołkach, dozorcę oprowadzali psy i ani nie spojrzeli w górę. Bo uważali, że w danej chwili są na służbie, pełnią swój obowiązek.

Tak samo, gdy ślepegroat brzęczy nad ulicą, konduktorka autobusu woła najspokojniej: „Tickets please”. W godzinach wolnych do zajęć biegnie ona pierwsza do schronu.

I wszędzie to samo. Sprzedawca gazet nie zjeżdża z rogu, subiekt nie opuści sklepu, listonosz nie zwolni kroku, szofer nie

wyskoczy z auta, nawet żebrak nie odsunie się od swych bohomożów na chodniku. Skoro Anglik jest w trakcie pełnienia najskromniejszej choćby funkcji publicznej — żadne latające bomby nie nakłonią go do porzucenia posterunku.

Każdy ma swoją bombę

W niektórych barach wywieszono kartki z napisem: „Kto nadmieni tutaj o buzz-bombach, płaci pół korony (dwa i pół szylinga) na bezdomne psy w Afryce”.

W takich barach panuje z reguły głucho milczenie.

Egoista mówi: Nic mnie nie obchodzi cudze bomby i nie chcę o nich słuchać. Interesują mnie tylko moje własne bomby!

Na bezmyślne pytanie: „Co słychać?” odpowiada się dziś: „Póki słychać bombę to dobrze, gorzej, gdy zamilknie...”.

Na Londyn spadło zaledwie kilka tysięcy bomb latających, ale dziwnym trafem parę milionów ludzi miało z nimi niezwykłe przeżycia i „tylko cudem” uszło przed śmiercią.

GRECJA-ŻYWE ŹRÓDŁO NASZEJ LITERATURY

Literatura polska, pozornie bardziej niż inne oryginalna, bo świadomie zamykająca się w ramach zagadnień związanych z własnym życiem politycznym i obyczajowym, a przez to trudna do zrozumienia i do rozpowszechniania wśród innych narodów, poczyła nieraz u obcych. Były to często wpływy dotyczące jedynie formy (np. sonet i oktawa wzięte od Włochów), lecz zdarzało się także, że zapożyczenia te sięgały głębiej z wielką korzyścią dla naszej literatury. Zawdzięczamy im pewne prądy umysłowe i kulturalne lub zagadnienia, bez których piśmiennictwo polskie byłoby ubogie i nieciekawe.

Z przepięknej, choć tak odległej w czasie i mało wśród nas rozpowszechnionej literatury greckiej, prócz związanej z nią w dużej mierze mitologii (którą zawdzięczamy wcale pomyślnym, obrazów i prawnym, Norwida, Wyspiańskiego i innych), prócz pewnej znajomości homerowego dzieła, wzięliśmy przede wszystkim dwa zagadnienia. Zapewniły one nieśmiertelność i głębię myślową naszej poezji. Są to tzw. prometeizm i tyteizm.

Mit o Prometeuszu, który w trosce o ludzkość zbuntował się przeciw najwyższemu bóstwu i nie bacząc na nierówności sił, wypowiedział walkę, z tragedii Ajchyleosa rozszedł się na wszystkie wielkie literatury świata symbolizując najwznioślejsze porwy twórców, występujących w obrocie człowieka. Ten prometeizm, tak nazwany od postaci, która najlepiej uosabiała ów szlachetny bunt przeciw bóstwu, stworzył szczyty poezji angielskiej: „Raj utracony” Milтона, „Manfred” Byrona oraz zapewnił wielkość „Fausta” Goethego. Co do nas zawdzięczamy mu najbardziej uducho, wione wloty literatury. Improwizację III części „Dziadów” Mickiewicza, „Kordiana” i „Króla-Ducha” Stowackiego, „Niebiosa Komedji” Krasińskiego, „Wyzwolenie” Wyspiańskiego oraz najpiękniejsze zrywy Kasprowicza.

Jeszcze dodamy, że twórczość wielkich pisarzy staje się źródłem często odwiedzania przez „ptaki mniejszego lotu”, ich naśladowców, nie trudno stwierdzić, że prometeizm stanowił jedno z najważniejszych zagadnień polskiej literatury romantycznej i poromantycznej, że począwszy od wieszczów tkwili w naszym piśmiennictwie, objaśniany, naśladowany i wreszcie „rozmicniany na drobne” w dziełach ich epigonów.

Tyteizm, również dobrze znany naszej literaturze, bierze swą nazwę od Tytiosa (Tyteusza), poety greckiego z okresu tzw. 2. wojny mессеńskiej, tj. z VII w. przed Chrystusem.

Przed walką z przeważającym wrogiem Mессеńszczyń zwrócił się do Spartan z prośbą o pomoc. Zamiast oczekiwanej odsieczy Lacedemończy przysłał im poetę — Tyteusza. Ten siłą swego talentu potrafił tak zagrażać do bitwy Mессеńszczyń, że poprowadzeni przez niego odnieśli decydującą zwycięstwo nad kilkakrotnie silniejszym liczebnie wrogiem. Od tej chwili Tyteusz stał się synonimem poety, zagrażającego do bitwy, a tyteizmem moglibyśmy na-

Co ludzie mówią?

Mieszkaniec wybrzeża: — Widok pościgu naszych myśliwców za robot-bombą więcej mnie podnieca, niż widok Derby. To prawdziwy sport.

Szcześliwa żona: — Warkot ślepegroatów nie mi nie przeszkadza. Moją małą głosić od nich chrapie.

Poważny handlarz: — Przez lata sprzedawałem Niemcom złom. Widzę, że teraz odsyłają część naszego starego żelastwa z powrotem. Raczej nie miała sumienność...

Profesor: — Nie jestem pesymistą, ale od tych latających bomb nie spodziewam się niczego dobrego!

Rozradowany mąż: — Wróciłem późno do domu i czarny kot zastąpił mi drogę. Spodziewałem się więc czegoś miłego. I rzeczywiście, okazało się że buzz-bomba spadła po południu koło nas i moja żona wnet wyjechała na wieś.

Mściwy gentleman: — Po wojnie trzeba będzie uwzględnić Hitlera i jego bandę do takich ślepegroatów i wystrzelić je nad Atlantyk!

Smutna żona: — Nasza 3-letnia córka Sabetta mniej się boi lecącej bomby, niż taty, wracającego pijanym do domu. I ma rację, bo on solidnie demoluje mieszkanie!

Przewidująca mama: — Co za wynalazek, za parę lat będę takim wysyłać dzieci na wakacje.

Lotnicy w akcji

Piloci myśliwców, którzy walczą najskuteczniej ze ślepegroatami, twierdzą, że polowanie na skrzydlate bomby dostarcza mnóstwo uciechy.

— To jakby ściganie kuli ognistej po niebie! — zwierza się jeden.

Bombowy rekordzista stracił sześć podczas jednego lotu. Wszystkie zestrzelił do morza.

Dwudziestotrzyletni kpt. Musgrafer opowiada:

— Przeklęte draństwo śmignęło o parę tysięcy stóp ode mnie. Dagoniem je i zaaplikowałem mu serię. Nic! Pędziło da-

(Dokończenie na str. 10).

Karol Zbyszewski

zwać zachęcanie do walki w obronie ojczyzny bez względu na siły przeciwnika.

Specjaliści od tzw. „przyczynków” doszukują się śladów tyteizmu w naszej literaturze na całej przestrzeni jej dziejów, począwszy od zupełnie prawie nieznanego poematu — eposu łacińskiego Jana z Wilsłicy „O wojnie z Krzyżakami”. W całej pełni występuje jednak tyteizm — i jest to zupełnie zrozumiałe — po utracie niepodległości. Mianowicie w czasach, gdy ze względu na cenzurę nie można było wyjawiać wprost swych uczuć patriotycznych, poeci uciekali się do najrozmaitszych sposobów, by zachęcać do walki z najeźdźcą, najchętniej przytaczając przykłady oporu z historii ujarzmionych narodów.

Rozpoczyna tę podjazdową walkę z cenzurą Mickiewicz w „Konradzie Wallenrodzie” gloryfikując w postaci Litwina — wielkiego mistrza Krzyżaków — świadome dążące do celu mściciela ojczyzny. Dla tych, którzy by nie rozumieli znaczenia poematu, autor wyjawiał swą myśl jeszcze jaśniej w „Alfuharze” sięgając na odmiennie do dziejów Hiszpanii. (Przyznać trzeba, że ideologię „Konrada Wallenroda” pochwycił w lot cenzura rosyjska, sztychlić nam nasze społeczeństwo). Po raz drugi Mickiewicz zagroził do walki z najeźdźcą przykładem „Giaura” Byrona, gdzie w plomiennej apostrofie do Greka młującego nade wszystko wolną ojczyznę widać wyraźną aluzję do rodaków tłumacza. Później na emigracji poeta odzyskuje wolność słowa i przemawia wprost do czytelników.

Wtórował mu również na wygnaniu Krasinski w „Irydionie” — przykładem walki Greka, mścącego się na Rzymie za uciemiężenie ojczyzny.

Odtąd ci z naszych twórców, którzy przebywali w kraju, korzystali nieraz z drogi pokazanej przez Mickiewicza, głoszącego hasło bezlitosnej walki z najeźdźcą. W ślad wielkiego wieszaka poszedł przede wszystkim Kornel Ujejski w „Maratonie” (1846).

W przededniu bitwy z Persami Milcides w gorących słowach zachęca rodaków do walki z wrogiem, walki na śmierć i życie. Dużą popularność późniejszego autora „Chorału” w naszym społeczeństwie trzeba przypisać właśnie temu bojowemu tonowi jego pierwszego utworu. W ślad za Ujejskim poszli inni. Mało znany Henryk Jabłoński, autor poematu „Gwido” i jego nie-

co bardziej popularny przyjaciel Leonard Sowiński w utworze „Z życia” (1859), obydwaj skorzystali z przykładu podbitych Wioch, by przed powstaniem styczniowym zagrażać do walki.

Do legendy o Tyteuszu sięga wprost Cyprian Norwid we fragmencie włączonym do dramatu „Za kulami”, a w przeddzień powstania styczniowego, bo w r. 1862, w okresie swego największego wlotu poetyckiego Władysław Ludwik Anczyc, późniejszy twórca teatru narodowego, utworem „Tyteusz” przypominał społeczeństwu bojowe postannictwo poety i zaklinał rodaków do walki z wrogiem. Wreszcie w poemacie „Arion z Koryntu” wydanym w Lipsku w r. 1866, znany raczej jako historyk adwokat warszawski Aleksander Kraushar uderzał w tą samą strunę nie zważając na dysonans, jaki wywołał swym utworem po nieudalnym powstaniu.

Z pobieżnego przeglądu tych utworów o różnej wartości literackiej widać jedno. Tyteizm w literaturze polskiej przybrał dwie postacie, hańdź bezpośredniej zachęty do walki, bądź też posługiwany był formą alegorii czy przykładu, który przemycił tę samą myśl. Oczywiście tak wyglądający tyteizm nie był znany literaturze greckiej.

W przeglądzie „polskich Tyteuszów”, pisarzy o różnej skali talentu, zachowaliśmy cłowno na koniec mało znanego poetę i tłumacza, Adama Fajgerta, by przytaczając fragment jego do dziś bardzo aktualnego wiersza, dać próbkę tej poezji, zachęcającej do walki.

Ow literat, którego nazwisko cenią ludzie zajmujący się polskimi przekładami Szekspira (ilu ich jest?) dwa razy w swym życiu uderzał w ton tytejsowy. Na parę lat przed powstaniem 1863 r. w poemacie „Kadmea” ilustrującym fragment z walk greckich o niepodległość, przemawiał do swych rodaków w tym samym duchu co jego poprzednicy. Po raz drugi zabrzmią te akcenty bojowe w jego twórczości w wierszu do Karola Balińskiego, poety-romantyka, przebywającego na emigracji. Utwór ten zachował do dziś swą pełną aktualność, a może nawet nabrał jej z czasem więcej, zwłaszcza dla nas, pędzących lata na wojennej tulużce.

Oto parę zwrotek, w których jasno wypowiedziała się myśl poety, co łącząc echa „Odysei” z wezwaniem do boju, wskazał nam wyraźnie cel na przyszłość.

*„My młodzi nośm Telemaka dole,
Patrzcie jak nasze wrog trwoim dostali,
Jako przy naszym biesiaduje ślota,
I tżom wroga naszej wdowej matki,
Dziś im się nad nią śmiechem rozchuchwała
Krzyżując: „Wybieraj Niemca lub Moskala.”*

*A ona cicha, blada i poważna,
Jak Penelopa dzień i noc się smuci,
Jak Penelopa na groźny odważna,
Czeka, czy rychło jej Ulisesa wróci?
I tylko boleś tym koł niezmierzni,
Ze jeśli wróci, zastanie ją wierną.*

*O Polako moja! W obliczu Europy
Wrogom na zgubę a Tobie na chwałę,
Wróci Ulisesa do swej Penelopy
Ze swego łuku on wypuści strzałę
I do tej czerni huknie głosem gromu:
„Niki! z was nie wyjdzie żyw z mego domu!”*

Dr Zygmunt Markiewicz

ADOLF BOCHENSKI

MIEDZY NIEMCAMI A ROSJĄ^{*)}

Przewidywania nasze w stosunku do Niemiec powinny być oparte przede wszystkim na założeniu, że o ile możliwe są chwilowe — lub nawet trwające przez względnie długie okresy czasu — dobre stosunki obu państw, o tyle Polska musi się liczyć z wcześniejszym lub późniejszym powrotem ekspansji niemieckiej na Pomorze i Śląsk. Te dwie tezy — możliwość okresu współdziałania i konieczność: po wrotu antagonizmu — znajdują swe uzasadnienie w pewnym ogólnym teoretycznym sposobie ujmowania zjawisk międzynarodowych. Chodzi tu przede wszystkim o rolę czynnika geograficznego w polityce państw, po drugie o stałość jej linii wytycznych.

(Str. 13)

Historia potwierdza zresztą pogląd, który dyktuje sama rzeczywistość. Wielu publicystów dodaje sobie ducha twierdzenia, iż między początkiem XVI wieku a końcem XVIII wieku nie było ani jednego poważniejszego zatargu polsko-niemieckiego. Pogląd ten nie jest słuszny. Konflikty i rywalizacja, czy też z Habsburgami były i wówczas zawsze na porządku dziennym. Jedno jest w każdym razie pewnym. Stosunki między Polską a Prusami czy Austrią ulegały w tym okresie ciągłym zmianom i od przynajmniej przechodziły łatwo w silne zaognienie.

(Str. 18)

Statyczny pogląd na politykę zagraniczną wielkich państw europejskich nie odpowiada już młodej generacji. Z jednej, strony musimy brać pod uwagę możliwość dobrych stosunków z Rzeszą Niemiecką przez pewne okresy czasu, z drugiej nie możemy uwierzyć w ich wieczność i stałość. To są zasadnicze wytyczne, do których Rzeczpospolita powinna się dostosować. Ale wyzywać się iluzji na zachodzie, nie możemy pozwolić na plegnowanie ich ze strony przeciwniej.

(Str. 19)

Wiara w wieczny spokój od strony zachodu jest właściwie „małą polską iluzją” ze względu na małą ilość jej zwolenników. Natomiast „wielką polską iluzją” jest wiara w „wieczny pokój od strony wschodniej”. Opiera się ona na dwu zasadniczych argumentach. Z jednej strony na przesvědzeniu, że ekspansja rosyjska kieruje się obecnie niezmiennie na Daleki Wschód, z drugiej na pewności, że nie sposób udowodnić interesu Rosji w nowych nabytkach terytorialnych.

Pogląd o niezmiennym skierowaniu się Rosji na Daleki Wschód i na wieczność dobrych z tego powodu stosunkach między Polską a Rosją znajduje w dużej mierze wytworzenie w doświadczeniach z lat 1923 do 1930. W tym okresie ekspansja niemiecka kierowała się energicznie przeciw Polsce, ekspansja rosyjska stosunkowo mniej interesowała się Rzeczpospolitą, więcej zaś Dalekim Wschodem. Adam Krzyżanowski w swej klasycznej „Pauperyzacji Polski Współczesnej” pisze, że ludzie dzielą się na trzy zasadnicze kategorie. Pierwsza potrafi korzystać z doświadczeń poprzednich pokoleń. Druga jedynie z własnych doświadczeń. Trzecia zaś w ogóle z żadnych doświadczeń korzystać nie umie. Dziś już jednak możemy przyjąć za udowodnione, że ta szkółka polityczna nie potrafi korzystać z doświadczeń poprzednich pokoleń. Badając bowiem oscylację polityki rosyjskiej w ciągu ostatnich dwu wieków, widzi się przejrzyste, jak dziwnie niepewnym jest twierdzenie, jakoby zmiany linii ekspansyjnej tego państwa, która miała miejsce po roku 1920, miała być zmianą — ostatnią.

Przebieg polityki rosyjskiej od frontu szwedzkiego do frontu tureckiego czy polskiego, później ewolucja od polityki anty-austriackiej do Dalekiego Wschodu, to przecież były rzeczy na porządku dziennym wydarzeń historycznych. Nawet iluzja o stałym i niezmiennym zaangażowaniu się polityki rosyjskiej na Dalekim

Wschodzie nie jest rzeczą nową. Kierownicy naszej opinii publicznej mają pod tym względem wybitny poprzednik w postaci cesarza Wilhelma II. On to przecież większość swych katastrof zawdzięczał błędnemu przekonaniu, że polityka rosyjska po roku 1901 niezmiennie orientować się będzie ku Dalekiemu Wschodowi. Tu odnajdujemy przyczynę większości błędów polityki Holsteina w okresie od obietnicy „krzyca tyłów” Rosji w 1895 roku do konferencji w Algeiras. Tu leżał główny powód odrzucenia propozycji sojuszu z Anglią, prowokacyjnej polityki marokańskiej, nieprzyjęcia układu Rouviera itd. Było by dziwnym, aby polska opinia publiczna pragnęła oprzeć i politykę Rzeczpospolitej na tej samej iluzji, która 30 lat wcześniej przyprawiła o zgubę cesarskiej Niemcy.

(Str. 20 — 21)

Ale nawet gdyby wszystkie te przesłanki odrzucić, nawet gdyby przyjąć, że istotnie Rosja będzie w przyszłości dążyć do zachowania jak największego spokoju na swej zachodniej granicy, to trzeba by sobie przecież zdać sprawę, że uzyskanie się spokoju na pewnym odcinku przez porozumienie z możliwie najsilniejszym partnerem. Kto wie czy właśnie chęć zapewnienia sobie spokoju na zachodzie nie nakazywałaby Rosjanom współdziałania z Niemcami nie pozbawionego na pewno ostrej przeciwności. Jest rzeczą prawie pewną, że jedynym chyba państwem, które może Rosji dać gwarancję na zachodzie — jest właśnie Rzesza Niemiecka. Jest to ciężka dla Polśki zawsze poważna groźba. Wprawdzie dziś porozumienie między hitleryzmem a komunizmem wydaje się niemożliwym, ale nie należy zapominać, że sto dwadzieścia siedem lat temu morderca księcia d'Enghien żenił się z córką cesarza apostołskiego. Państwowacja racja stanu pozwalała czasem na zasadnicze kompromisy ideologiczne. W razie więc, o ile ekspansja rosyjska wróci kiedyś do Europy, co uważamy za pewne, kierować się będzie przede wszystkim przeciw Polsce. O ile przez długi okres czasu natomiast Rosja będzie jeszcze poszukiwać spokoju na swej zachodniej granicy, to jest rzeczą prawie pewną, iż będzie go poszukiwać przede wszystkim z Rzeszą Niemiecką.

Jednym z głównych argumentów zwolenników hipotezy „wiecznego pokoju” między Polską a Rosją jest twierdzenie, że Rosja jest terytorialnie tak ogromna, iż w żadnym wypadku nie może poszukiwać nowych nabytków. Jest to twierdzenie, które dość słabo trafia do przekonania, łatwiej natomiast do wyobraźni. Zasadniczo bowiem obszar każdego państwa jest w stosunku do pojedynczego człowieka tak ogromny, iż można by identycznie rozumować w każdym wypadku. Głównym powodem imperializmu terytorialnego jest jednak zazwyczaj raczej obawa przed utratą w przyszłości właśnie tych terytoriów. Jeśli Rosja ostatecznie zaanektowała w XVIII wieku dużą część Polski, to stało się to w dużej mierze na to, aby zabezpieczyć swe posiadłości ukraińskie. Dziś problem ukraiński dla Rosji nie jakąś fantazją, ale niestety realnym niebezpieczeństwem. Istnieją tu dwie wielkie możliwości. Albo wpływ narodowych Ukraińców na sposób prowadzenia polityki zagranicznej ZSRR wzrośnie — co zresztą uważamy za mało prawdopodobne — i w tym wypadku zaktualizuje się mocno dążenie do odebrania Polsce jej kresów wschodnich. Drugą natomiast możliwością jest raczej wzrost kierunku centralistycznego, a tym samym niebezpieczeństwa ukraińskiego dla Rosji. W tym wypadku naturalnie będzie dążenie do odebrania Ukrainom tego skrawka ziemi, na którym z koniecznością musi stać się Pięć narodoży, tzn. ziem ukraińskich Rzeczpospolitej Polskiej. Istnieje również poważny interes Rosji w uzyskaniu bezpośredniego połączenia terytorialnego z Czechosłowacją przez Galię Wschodnią. W każdym razie jest rzeczą pewną, że argumenty grupy politycznej rosyjskiej przekonującej aktywną politykę na zachodzie nie byłyby o wiele słabsze od argumentów zwolenników ekspansji niemieckiej na Pomorze i Śląsk. Najświeższym zaś niewątpliwie publicysta polski St. Mackiewicz twierdzi, że porzucenie przez Rosję ekspansji na Daleki Wschód około roku 1906 było ciężkim błędem. Nie wchodzimy tu w pytanie, czy był to błąd czy też nie.

Jedno jest pewnym. Ten „błąd” był tak jedyńsiedmoparty przez całą narodową opinię rosyjską, że trudno przypuścić, aby takie „błędy” nie mogły się zdarzać i w przyszłości...

Dochodzimy do pierwszych naszych konkluzji. Polska opinia publiczna powinna się liczyć ze zmianami zarówno w polityce niemieckiej, jak i w polityce rosyjskiej. Możliwe i prawdopodobne są zarówno dobre jak i złe stosunki między tymi państwami a Polską. Nie ma jakichś stałych i koniecznych stosunków, ale należy się liczyć z nawrotami zarówno ekspansji niemieckiej jak i ekspansji rosyjskiej przeciw Polsce. Z tych konkluzji wynikają możliwości całego szeregu konstatacji politycznych...

(Str. 22 — 24)

Jeżeli sięgniemy do głębi zagadnienia, to spostrzeczemy, że przed Polską stoją właściwie dwie wielkie drogi prowadzące do ochrony jej integralności terytorialnej. Jedna droga — to wyzyskanie w maksymalnej mierze siły bezwładu europejskiego. Wszelkie zmiany na mapie Europy niewątpliwie prowadzą do naruszenia tego zbawczego bezwładu. To jest droga w polityce zagranicznej konserwatywna i właściwie najłatwiejsza... Niestety jednak historia stwierdza, że siła bezwładu była zawsze siłą ogromną, ale w końcu zawsze ulegała elementom bardziej aktywnym. Druga droga, to droga prowadząca do uzyskania przez Polskę stanowiska naprawdę mocarstwowego, nie przez nabytki terytorialne, ale przez stworzenie na naszych granicach maksymalnej ilości organizmów państwowych nawzajem się neutralizujących...

(Str. 59 — 60)

W polityce zagranicznej — jak i we wszystkich innych dziedzinach życia narodowego — są pewne imponderabilia, których w żadnym wypadku naruszyć nie wolno. Od zwykłych twierdzeń politycznych różnią się one tym, że nie są to sądy o środkach prowadzących do pewnych celów, ale ogólnie obowiązujące bezwzględne normy działania. Drugą zaś cechą imponderabilii jest powszechność ich uznania wśród myślących kategoriami narodowymi opinii. Praca nad sformulowaniem tych zasad nie jest właściwie pracą twórczą, lecz raczej podchwyceniem pewnych podstaw oficjalnej polityki państwa z jednej strony, głębokich fibrow narodowej opinii publicznej z drugiej. Pozornie niekiedy oddalone — oba te bieguny nie tracą właściwie nigdy bliskiego ze sobą kontaktu psychicznego. W jakiej mierze uda nam się taką polską doktrynę sformułować w następujących trzech paragrafach — to już oceni sam czytelnik.

1. Rzeczpospolita Polska nie może w żadnym wypadku zgodzić się na okrojenie swych granic wyznaczonych traktatem wersalskim i ryskim.

Prawda ta jest tak oczywista, że nie potrzebujemy jej oczywiście uzasadniać. Jest rzeczą jasną, że obrona naszych granic musi być pierwszym i najważniejszym celem polityki polskiej. Przy tym należy sobie zdawać sprawę, iż granicom naszym grozi ciągłe niebezpieczeństwo. Jeżeli w dzisiejszych czasach trudno mówić o widmie sejmie grodzieńskiego, to na odwrót bardzo wyraźnie jest widmo Trianonu tzn. takiego okrojenia granic Rzeczpospolitej, jakiego doznały Węgry po wojnie światowej.

Granice państwa nie są czymś stałym i nieuchronnym. Państwa zdawało się najspokojniejsze, Holandia, Belgia, Dania i Hiszpania kilkakrotnie zmieniały swe granice w ciągu ubiegłego wieku. Byłoby iluzją przypuszczać, że wystarczy w polityce zagranicznej nie robić, by zachować nasze granice. Wręcz odwrotnie. Utrzymanie falsus vales sim! Wydaje mi się jednak, że dzisiejszy układ sił europejskich, jeżeli nie ulegnie radykalnej zmianie, prowadzi do wielkich klęsk dla Polski. Chwila krytyczna nastąpi wtedy, gdy na widownię dziejów wystąpi znów porozumienie niemiecko-rosyjskie. Dlatego nie wystarczy urządzić wiec i krzykzeć, że nie oddamy ani pigdli ziemi. Musi się jeszcze pomyśleć, jakie zmiany muszą nastąpić w konfiguracji terytorialnej Europy, abyśmy jej istotnie nie musieli utracić...

2. Rzeczpospolita Polska nie może w żadnym wypadku zawdzięczać integralności swych granic pomocy jednego ze swych sąsiadów.

Powyższa zasada, drugi punkt polskiej doktryny Monrogo, wydaje się być równie oczywistą, jak pierwsza. O ile była niewątpliwie rządziej formułowaną przez naszą politykę oficjalną, o tyle w opinii publicznej znalazła tym świetniejszy wyraz. Mam tu na myśli rozdział poświęcony polityce zagranicznej w „Idei polskiej” Władysława Grabskiego, w którym niewątpliwie znajdujemy tę myśl przewodnią. O ile można nie zgodzić się z pewnymi koncepcjami społecznymi, czy gospodarczymi byłego premiera, o tyle przyznać trzeba, że w tej książce wzniósł się on na najwyższy stopień oderwania od kryteriów grupowych i przejęcia się losami narodu.

Był niestety taki okres w dziejach Polski, w którym całość granic Rzeczpospolitej opierała się na pomocy ze strony sąsiadów. Mamy tu na myśli epokę ciągnącą się od pierwszego rozbioru aż do początku sejmiku czterolietniego. Faktyczna obrona granic polskiej przez Rosję w okresie prokonsulatu Stackelberga, wobec ustającego imperializmu pruskiego, musiała z konieczności przyczynić się do ciągłego utrzymywania Polski pod opieką rosyjską. O ile by w naszych czasach Rzeczpospolita zawdzięczała znowu swoją całość opiece czy gwarancji jednego ze swych sąsiadów, należałoby się spodziewać szybkiego powrotu do stanu ówczesnego i dlatego ta ewentualność nie może być przez nas w żadnym wypadku brana w rachubę.

Ale z tego paragrafu wynikają też inne konsekwencje, których nie sposób nie docenić. Istnieje u nas tzw. „teoria równowagi” głoszona przez wielu publicystów i polityków. Teoria ta polega na twierdzeniu, że Rzeczpospolita powinna dążyć do utrzymania równowagi między Rzeszą Niemiecką a Z.S.R.R. i nie dopuszczać, by jedno z tych państw nadmiernie osłabiło drugie. Podstawą tego twierdzenia nie może być jednak nie innego jak nadzieja, iż w pewnym wypadku jedno z dwu państw sąsiadów mogłoby nas bronić przed drugim. Gdyby tej ewentualności nie można było w ogóle brać pod uwagę, nasałoby się pytanie, dlaczego osłabienie jednego z dwu sąsiadów przez drugiego miało być dla Rzeczpospolitej szkodliwe.

Otoż wraz z przyjęciem, że granice R.P. nie mogą być broniące ani przez Rzeszę Niemiecką, ani przez Z.S.R.R. załamują się także podstawy teorii równowagi. Powinna ona ograniczyć się raczej do twierdzenia, że w interesie R.P. nie może być nadmierne wzmocnienie jednego z jej dwu sąsiadów. Natomiast osłabienie jednego z nich w żadnym wypadku nie może być uważane za rzecz szkodliwą. Nawigując do przewidywania zatargu niemiecko - rosyjskiego, które stanowi o tych wywodach, musimy położyć kres, że ochrona potęgi rosyjskiej nie może w żadnym wypadku wchodzić w zakres zainteresowań R.P. Może być jedynie mowa o przeciwdziałaniu nadmiernemu wzmocnieniu Rzeszy Niemieckiej wskutek załamania się Z.S.R.R. Stwierdzenie to rzuca np. światło na najgorsze dla naszej racji stanu w ogóle wydarzenie, jakie mogłoby nastąpić w Europie, tzn. na skomunizowanie Rzeszy Niemieckiej wskutek jakichś porażek. Tego rodzaju zdarzenie stosunkowo bardzo znacznie wzmocniłoby bowiem Związek Radziecki małą przyczynając się do osłabienia naszego zachodniego sąsiada... Z drugiego punktu polskiej doktryny Monrogo wypływałoby więc nieintencja w razie możliwości znacznego osłabienia któregoś z naszych sąsiadów, interwencja w razie perspektyw znacznego jego wzmocnienia.

3. Pochłonięciem przez wielkie imperiałyzm małych państw, względnie narodów bezpaństwowych, leżących w sferze naszego zainteresowania, jest sprzeczne z interesem Rzeczpospolitej.

Ta trzecia część imponderabilii polskiej polityki zagranicznej posiada tę wyższość nad poprzednimi, iż sformułowana została nie tylko przez opinię publiczną i politykę oficjalną, ale także w chwili największego rozkwitu potęgi mocarstwowej Rzeczpospolitej była jej linią wytyczną.

(Dokroczenie na str. 9.)

*) Fragment z książki pod tym tytułem, wydanej w Warszawie w r. 1937.

JAN LACHOWICZ

KRAJ NA WULKANIE

(Korespondencja własna „Orła Białego“)

Ankara, w lipcu
Nad Stambulem roztacza się szara mgła, którą zaciąga wiatr aż hen, skądś z Morza Czarnego. Zapada zmierzch, a coraz to bardziej ciemniejące sylwety: nieśmiertelnej świętyni Boskiej Madrości, sułtana Achmeda i Suleimanie otoczyła przezroczysta, fiołkowa poświata zachodu słońca, że stały się one podobnymi najpiękniejszej brabanckiej koronce. Jeszcze chwilką — ulatują człowiecze westchnienia ku niebiosom strzelistymi wlotami dziesiątków minaretów, jeszcze dojrzeć można smugę dymu, wlokącą się za stłakim, co płynnie przez Bosfor wioząc wyciekawiczów z wyspy o romantycznej, greckiej nazwie — Antigone. Wkrótce ciemność nocy ogarnie miasto, rozłożone na setkach pagórków i zabitych tysiącach światła mieszkających ludzkie.

Myślisz stara się wyprzeć oczy i przebiec gąstwiną mrok, kojarząc wybujałe wieżyczki z polskimi wieżami z innymi symbolami wiecznych uniesień ku słońcu, ku wyżynom, dobru i pięknu — z prostymi, wyniosłymi palami drewnianymi na polanach w gęstych borach, zakończonymi głową ludzką o czterech twarzach, z posągami, o których kiedyś tyle mówiła „Stara Baśń”, podobiznami Dadźbóg-Swarożyca, zwanego inaczej Światowidem.

O, piękne miasto i uroczy kraj, który nie znał okropności wojny! Powiem ci w twoim ojczystym języku: Selamualey-kum. I oby jak najdłuższy był: pokój z Tobą. Gdy własne ognisko domowe zgaszone, a wiatr roznosił popioły w cztery strony świata — niechaj wzrok nacieszy się chociaż widokiem cudzego szczęścia.

Myślisz inne wracają wciąż jednak uporczywie dręczące i groźne, jak motyw minnowy w starożytności, jak wójtów, jak wówczas, gdy w podobny letni wieczór przed paru laty — wzrok na darmo przebiegał mrokiem dalekiego szkockiego wybrzeża, a ręka zaciskała się mocniej na karabinie w oczekiwaniu na inwazję wroga, co przyszła miała od strony Norwegii. Fale szumiały wtedy o wielkich rzeczach, jak teraz nad Marmarą, a w sercu tlały wiatry płomyk nadziei, przylgający pomrukiem beznadziejności Morza Północnego.

Jakże teraz jest inaczej!
Rzecz wzięty! Rozpoczęcie inwazji! Wydarzenia o dużej doniosłości toczą się jedno za drugim. Wydawałoby się, że Turcja leży na uboczu od gościnia, którym pędzi oszałała historia, drzemie w jakimś błogim półśnie. I mniemać by można było

również, iż wszystko, o czym się tu mówi, że wszystko, co się tu robi — blade jest i dalekie od rzeczywistości...

To nieprawda!
Wszystkiemu, co się dzieje wokół na szerokim świecie — można dać miano — teraźniejszości. Natomiast — w kraju półkuli i gwiazdy — już od wielu inieści, w miarę rozwoju wypadków — potytguje się troska o — przyszłość. Zagadnienia takie, jak: przyszły, lepszy ustrój świata, niestosowanie przemocy wobec słabszego, humanitaryzm i proste uszanowanie praw innego człowieka — zaprzątają umysły polityków, mężów stanu i łamy gazet tego kraju.

Tu, za siodłymi górami Taurusu, Kaukazu i Tracji, chronione za morzami, co tę ziemię otaczają — blyszczą światło, któremu na imię: ludzkość.

Kłos zarzuć może polityce i opinii publicznej turkcejskiej, iż działają one z podobek egoizmu narodowego. Turcka polityka zagraniczna stanowić może wzór dośkonalego naśladowania dla innych,

szluszny, podkreśla jednak zdanie z następnego z kolei przemówienia — ministra Edena, które nasuwa przypuszczenie, że dotychczas jeszcze główne zagadnienia powojenne nie zostały uzgodnione pomiędzy trzema wielkimi aliantami. Sadak przytacza następnie zdanie angielskiego ministra spraw zagranicznych, że jeśli by podstawowe zasady organizacji świata powojennego nie zostały uzgodnione pomiędzy mocarstwami, to widziałyby on przyszłość w nader ciemnych kolorach.

Jeśli przypomni sobie deklaracje pełne nalegań w tym względzie w obu wspomnianych przemówieniach angielskich mężów stanu na temat nieufności między Rosją i Anglią, to nie możemy odmówić słuszności słowom Edena — powiada Sadak.

Kwestia uzgodnienia celów wojennych aliantów jest przedmiotem szczególnej troski prasy turkcejskiej. Dlatego nie zdziwił nas fakt, że w parę dni później czytaliśmy w innym artykule tego samego publicysty następujące uwagi na marginesie konferencji waszyngtońskiej: Rosja nie wypo-

Zwolennicy osiągnięcia zwycięstwa dla samego zwycięstwa — mogliby tu przywołać jeden z urywków „Pana Tadeusza” — „takie były zabawy, spory w one lata, podczas gdy... reszta świata... we łzach i krwi tonęła...”.

Słusznym wydaje się jednak, aby istniały kraje tego rodzaju — co Turcja, gdzie można wciąż jeszcze swobodnie wypowiadać się na tematy, które gdzie indziej wywołują ograniczenia. Różne jednak istnieją możliwości rozwoju wydarzeń w obecnej wojnie. Ciężyną — wiadomo — rzecz iakomstwo wzbudzająca, a w okresie gdy wielki imperializm wciąż powracają do odwiecznych dążeń, gdy prawie każdy z nich ma jakąś koncepcję „Drang nach Osten”, czy „nach Sudeń” — wszystko zdarzyć się może.

A powstanie ewentualnego konfliktu? Może nastąpić przecież tak, jak w owej bajce z życia zwierząt — o jagnięciu, które przeschadzało pić wilkowi wodę z rzeki...

Na ulicach Stambułu produkuje się pomysły wroźbiarstwa. Posiada on nader pojętne koguła wyciągające losy, przepowiednie i sentencje z drewnianej szkatułki. Tuż obok koguła — spoczywa tresowany lis, postępujący ze swym twarzą na stopie „paktu nieagresji”. Widowisko to jest tak niezwykłe, iż gromadzi tłumy gapiów. Lis jest pozornie spokojny, lecz gdy mu się bliżej przyjrzyć, dostrzeżemy, chytrość i iakomie — lubieżny wyraz „twarzy”. Czasem, lekko w bok zeszując — zerknie na koguła, a wtedy ujrzeć można w jego ślepiach całą drapieżność tak długo wstrzymaną i okrucieństwo.

Atmosfera godnego spokoju panuje w całym państwie. Ale nie zapominajmy, że Turcja jest krajem na wulkanie. Tu, oto przed nami sterzący kikuty ruin domu, który zawałił się podczas jednego z licznych trzęsień ziemi. O parę godzin drogi statkiem stąd — biją gorące gejzery, nad którymi unoszą się obłoki pary: — to słynne zdrowisko Yalova, z łazienkami, zbudowanymi jeszcze za czasów Bizancjum. Krucho jest w tym kraju skorupa ziemiska, jak zresztą kruchym jest wszystko, co się w ogóle na tym świecie znajduje i co przetrzeć niefortunnemu wyrażeniu: „niewzruszony, jak dym”.

Niedaleko dym, jak brzmi konwencjonalne wyrażenie — „kocioł bałkański”. Przez Galatasaray — przemknął samochód z uciekinierami, bułgarskimi oficerami, podziurawionymi kulami.

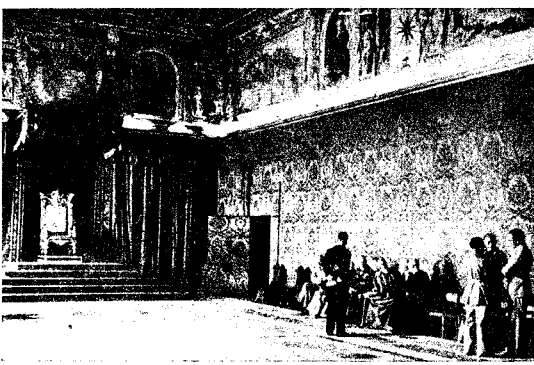
Jest sobota po południu i — jak co tydzień — odbywa się w całym kraju uroczystość podniesienia flagi. Na wysokiej wieży, co kształtem swym przypomina średnio-wieczne budowle włoskie — ukazał się czerwony sztandar z półksiężcem i gwiazdą. Wiatr powiał — i sztandar zalałotł dumnie, a w dali dostojna, skupiona — stoł zaprzeczona w swoje odbicie wyniosła — świątynia Boskiej Madrości, mgiełka i smętkiem owiana, jakby w żalu, iż miastu temu — historia wydarła palnę pierwszeństwa i miano wiecznego, kiedyś — podczas wielkich walk Wschodu z Zachodem.

ZAGADNIENIE PRUS Wschodnich

W dniu 25 ub.m. w Domu Zmartwychwstańek w Rzymie odbył się odczyt p. Mieczysława Chmielewskiego na temat „Zagadnienie Prus Wschodnich”. Prelegent przedstawił zebrany, wśród których obecni byli przedstawiciele społeczeństwa włoskiego oraz litewskiego, rzymsko historyczny Prus Wschodnich, krzyżowanie się na nim wpływów niemieckich i rosyjskich, odwieczne prawa ludności polskiej i litewskiej do tego terenu.

W konkluzji wskazał, że prawa Polski do ziem Prus Wschodnich nie mogą być traktowane, jako rekompensata za jakiekolwiek ustępstwa na wschodzie.

„Nie rozumie — mówił prelegent — dziejów Polski i ich ducha, — ani wskazał, które z dziejów naszych oraz z szczególnego geograficznego i geopolitycznego położenia Polski wypływały — kto sądzi, że można polski stan posiadania na wschodzie uszczuplić i podważać za cenę uzyskania przez nas na zachodzie linii Odry i Bobra. Polskie cele wojenne na zachodzie są bowiem w istocie swą rewindykacją terytorialnymi, opartymi o nieprzede wszystkim a mocne tytuły, zarówno historyczne, etniczne, gospodarcze, czy strategiczne”.



Audjencia Naczelnej Wodza gen. K. Sosnkowskiego u Ojca Św. Piusa XII w sali konsystorskiej w Watykanie, ozdobionej obrazami przedstawiającymi klasztor Monte Cassino.

mniejszych państw. Chcielibyśmy zobaczyć w tej chwili, a nawet w ogóle zawsze, jakikolwiek kraj, któryby kierował się pod tym względem innymi przesłankami.

Jedno, co zasługuje w każdym razie na podkreślenie — to fakt, że czy to przemawia minister, czy pisze organ rządowy, czy dziennikarz liberalny — gdy mówią wszyscy oni na przykład o losach państw mniejszych w przyszłości — to mając własny kraj przede wszystkim na względzie — problem cały generalizują, stając się orłownikami wspólnej sprawy wielu zainteresowanych. I tu właśnie uwidczniamy się wyraźnie szlachetna rola, ba, misja nawet — jaką ten wielki naród w obecnych chwilach spełnia.

Dośćdem od tego rodzaju wypowiedzi są tu zwykłe pewne głosy prasy angielskiej, zwłaszcza zaś enuncjacje alianckich mężów stanu.

Posłuchajmy na początek ostrożnie, lecz wnikliwej analizy jednego z niedawnych oświadczeń premiera Churchilla na temat przyszłej organizacji świata powojennego, jaka się ukazała spod pióra znanego dziennikarza turkcejskiego Necmeddina Sadaka na łamach dziennika „Aksam”. Artykuły tego publicysty — zdaniem tutejszej opinii publicznej pokrywają się przeważnie z punktem widzenia turkcejskiego M.S.Z.

Mówiąc o tej części enuncjacji brytyjskiego premiera, która podaje, iż przyszła organizacja narodów znajdzie się pod egidą czterech głównych mocarstw alianckich i ma być wzorowana na doświadczeniach dawnej Ligi Narodów — Sadak zauważa, że o ile chodzi o siły wojenne, jakimś będzie rozporządzała owa nowa rada — nie jest dostatecznie jasne, czy będą one podlegały wymienionym mocarstwom, czy też samej radzie.

Dziennikarz turkcejski zwraca również uwagę i na to, aby decyzje powzięte, jak słusznie — jego zdaniem — powiada Churchill, w celu zapewnienia przyszłego, sprawiedliwego pokoju, nie spowodowały zażdnienia, które by mogły doprowadzić do jeszcze jednej wojny światowej.

W konkluzji — autor artykułu wyraża wniosek, iż plan brytyjski jest na ogół logiczny, humanitarny i — mniej więcej

wiada się na temat organizacji przyszłego świata, lecz ogranicza się jedynie do całkowitego oddania się sprawie wojny. Według nas — nie ma w tym nic dziwnego, że aliantci zajmują się tak żywo kwestią ustroju powojennego świata. Zagadnieniem wstępnym w tej dziedzinie jest powzięcie wspólnych decyzji co do norm postępowania w stosunku do dwóch państw „osi” po zawieszeniu broni. Czy Rosja może podjąć decyzję w tym względzie wobec Japonii, z którą nie tylko nie prowadzi wojny, lecz — przeciwnie, pozostaje w stosunkach przyjacielskich?

Przykład podobnego rodzaju stanowi w ostatnich dniach wypowiedź premiera Churchilla, który uniósł Hiszpanię gen. Franco pomiędzy najlepszymi przyjaciółmi aliantów i wychwalał ją dość gorąco. W odpowiedzi na to, innego znowu dnia, prasa rosyjska przedstawiła Hiszpanię jako jedno z bardziej powściągliwych dziennikarzy turkcejskich.

Inny publicysta, znany ze swoich sympatii proaliantek, Husceyin Yalcin — rozpatrzył w piśmie „Tanin” przyszły ustrój wzorowany na Lidze Narodów, a opracowany przez prawników amerykańskich, kiedy mowa o tym, że rodzaj rady naczelnej stanowić będą przedstawiciele czterech głównych mocarstw, reszła zaś państw reprezentowana będzie w zgromadzeniu. Lecz — zapytuje — w razie, gdyby decyzja powzięta większością głosów tego zgromadzenia nie była zgodna z interesami któregoś z owych czterech mocarstw lub wszystkich ich razem — co wtedy? Jeśli, zwłaszcza, państwa te nie będą się chciały poddać uchwale większości, ci same zaś, według tego projektu, będą rozporządzać wszystkimi siłami wojskowymi owej przyszłej organizacji?

Ten sam publicysta pisze kiedy indziej z okazji projektu Labour Party, sugerującego utworzenie baz wojskowych dla głównych aliantów na terytoriach mniejszych państw, iż realizacja tych planów nie byłaby niczym innym, jak tylko poddaniem się zupełnym słabszym pod władanie i administrację wielkich mocarstw.

Tyle mówią ciekawsze głosy prasy turkcejskiej.

„Dokończenie art. ze str. 8”

Nie kto inny tylko hetman i kancjer koronny — Jan Zamoyski — sformułował ją najdokładniej w odniesieniu do zagadnień południowej i środkowej Europy. Jego walka z jednej strony z imperializmem habsburskim, a z drugiej z imperializmem turkcejskim stanowiła też ciekawą analogię do dzisiejszej sytuacji politycznej. Zabawna losów koleja, właśnie współczesny historyk czeski, p. Macurek, może najtrafniej i najinteligentniej sformułował politykę Zamoyskiego...

Jest rzeczą najzupełniej oczywistą, że w interesie państwa polskiego leży obrona państw małych i narodów ujarzmionych przeciw wielkim imperializmom. Aczkolwiek również w interesie Europy i pokoju leży oparcie państw na zdrowych podstawach narodowych, to jednak nie może tu chodzić o żadną donkiszoterię polityczną, lecz o interes polski. Wojna światowa poniosła silnie napróżd proces oparcia się państw na narodach. Należcy tu oczywiście odróżnić między panowaniem w prowincjach nadgranicznych, gdzie czysta zasada etnograficzna nie da się nigdy i nigdzie przeprowadzić i gdzie rozstrzygać będzie tylko siła, a między opowaniem całych narodów przez obecne państwa. Otóż jest rzeczą pewną, że na terenie Europy wschodniej jest cały szereg takich niezatławionych problemów... Poza tym jest cały szereg istniejących państw zagrożonych przez północny imperializm naszych sąsiadów. Otóż powodzenie planów zaborczych tych ostatnich jest niewątpliwie sprzeczne z interesem Rzeczypospolitej. Pokój a la longue zapewne może jedynie decydować narodów o swoich losach. Zasada „nic o nich bez nich”.

(Str. 174-179)

(Z książki Adolfa Bochenkiego pt. „Mie, czy Niemcom a Rosję” wydanej nakładem „Polityki” w Warszawie, w 1937 r.).

„TAKE ALL THE SOLACE YOU CAN!”

(Przegląd prasy)

Komunista odkrywa karty ■ Słoń nie jest kureczkiem ■ Nauki Lenina i Stalina ■ Kapitalista wcale nie gorszym narzędziem sowieckiej racji stanu niż komunista ■ W błogim śnie

Zwrot, użyty w tytule niniejszego przeglądu, znaczy po polsku: „Pocieszaj się, jak możesz”. Padł on w debacie parlamentarnej nad ostatnią w majowej premiera Churchilla. Komunista Gallacher wtrącił go w chwili, gdy premier Churchill dawał wyraz swemu przekonaniu, że w Rosji sowieckiej zachodzą głębokie zmiany, tj. że państwo rosyjskie traci swój rewolucyjny charakter. Komunista powinienby właściwie być zadowolony, że „burżuazja” świadomie łudzi się co do istotnych zamiarów Rosji i taki „zwichcenie” należałoby chyba uważać za potknięcie się i „ześlizg” z linii taktyki partyjnej. Tak też ujął to Churchill, który niepowołanego krzykacza skarcił słowami: „Szanowny dzielnym uczyniłby lepiej, pozostając w szałach”.

Alle komunikacji mają nie tylko swoje instrukcje z Moskwy, muszą one także dbać o swoich wyborców. Taktyka w obu wypadkach musi być różna — wobec świadomych złudzeń burżuazyjnego premiera rodzi się w sumieniu komunisty (jeżeli tak wolno powiedzieć) konflikt między interesami Sowietów i interesami partii komunistycznej. Konflikt nierozwiązalny: z jednej strony nie należy zbytnio dezawuować dobrowolnych złudzeń burżujów (świadomie i systematycznie podniecanych przez dyplomację sowiecką), a z drugiej nie wolno dopuścić do tego, by rodzinny komunista przestał wierzyć, że Rosja jest „małą rewolucją światową”. Może Gallacher rozwiązał ten konflikt sprytnie — w myśli machiawelicznej taktyki bolszewickiej, która ma swoją własną, wyższą logikę. Nam jednak oddaje Gallacher wielką przysługę: odsłania karty i demaskuje „dobrowolne złudzenia” burżujów.

Pierwsze półrocze tego „decydującego roku wojny” stoi pod znakiem rozpaczliwego samogwałtu sumienia wielkiej demokracji: demokracji angielskiej i amerykańskiej nie cofają się przed najbardziej ryzykownym „salto mortale”, byle umocnić się w przekonaniu, że Sowiety są nie tylko lojalnym sojusznikiem, ale że stają się mocarstwem, z którym można współpracować jak równy z równym, bo wielkie demokracje przechodzą szybką ewolucję ku „sojalizmowi”, a Sowiety nabierają cech państwa... „konserwatywnego”!

Wielkie demokracje potrzebują tych złudzeń nie tylko dlatego, że pragną za

ŚLEPOGRATY

(Dokończenie art. ze str. 7.)

lej! Podciągnąłem na sto jardów i znowu posłałem mu wszystko, com miał. Znowu nie! Wtedy zbliżyłem się zupełnie, właziłem dosłownie na ogon paskudztwa i po raz trzeci nacisnąłem guzik. Działstwo rozleciało się w powietrze, jak purchawka od kopniaka.

Nadzieje Niemców, iż wybuch bezpilotaowej bomby zniszczy ścigający go samolot, okazały się bzdurne. Ani jeden myśliwiec nie zginął w czasie tych bojów.

Wing-commander dywizjonu Spitfire'ów stwierdza:

„Izokroć teraz wracamy z nad Francji, rozglądamy się za ślepopogratami dla odprężenia nerwów po walce. Miał jest postrzelany sobie do takiego dziwadła. Wszyscy są łasi na strącenie bomby, toteż zgodnie z systemem czasów wojennych ustawiamy się do każdej w ogonku.

Poetyczne nastrojenie lotnik zwraca się: — To niecasowicie wrażenie walczący z samą maszyną, to coś jak z bajki... A swoją drogą przyjemnie, że wstrętne pudło nie może oddawać strażów...”

To im nie pomoże...

Najwię Niemcy myśleli, że wygrają ślepopogratami wojnę. Ta nadzieja już chyba przysła. Londyńczyk nie śpi, ale śmieje się na samą myśl kapitulacji. Byli w pierwszej linii frontu podczas półrocznego bliznu, są znowu teraz. I wiedzą, że jedyny sposób na talające bomby, to — przyzwyczać się do nich.

Ma rację ten londyńczyk, co mrugnął: — Głupie Szwały trąbią przez radio, że Angliey uciekają z Londynu. Tak uciekają, że aż brną coraz głębiej w Normandii.

Karol Zbyszewski

wszelką cenę uniknąć „wojny światowej nr 3”, ale także dlatego, że widzą w Rosji rynek zbytu, który umożliwi im pozbycie się obryzmych nadprodukcji przemysłowej, jaka grozi im po wojnie. Lęk przed nową wojną oraz strach przed bezrobociem i kryzysem gospodarczym, a co za tym idzie — przed przewrotem społecznym — pcha demokrację w ramiona Sowietów i każe im oddawać się bezbronnemu w ręce bolszewików. Z Sowietami zawiera się traktaty handlowe, które umożliwiły Moskwie swobodną interwencję w wewnętrzne sprawy Anglii i Ameryki, bo „dobra wola” rządów demokratycznych idzie tak daleko, że pozwalają totalnemu rzydowi sowieckiemu dokonywać transakcji bezpośrednio z prywatnymi firmami, ba, gdyby Sowiety nie mogły czy nie chciały w porę zapłacić za towar — rząd Stanów Zjednoczonych np. gotów natychmiast dać „vorschuss” z funduszy państwowych.

Bezmyślnie i tchórzliwie chwalenie wszyśkiego, co sowieckie, napiętnował już rok

(w numerze lipcowym) obszernie omówienie sowieckiego elaboratu. Autor, Calvin C. Hoover, tak ocenia znaczenie hasła „komunizmu” dla stalinowskiej praktyki państwowej: „Co do drugiego stadium komunizmu, w którym państwo zniknie, trudno wątpić, że odgrywa ono u autorów sowieckich mniej więcej tę samą rolę, co drugie przyjęcie Chrystusa u późniejszych teologów chrześcijańskich. Wolno przyjąć za rzecz zupełnie pewną, że Stalin zdecydował, iż pierwsze stadium komunizmu, które nazywa „sojalistycznym”, ma pozostać stałą formą państwa rosyjskiego i rosyjskiego społeczeństwa”.

Coż to jest, ten stalinowski „sojalizm”? Jest to ta forma totalizmu, jaką obserwujemy dziś w Rosji: produkcja gospodarcza nie służy zaspokajaniu potrzeb (jak w owym przyszytym, mitycznym „komunizmie”), ale celom państwa, a pała również nie jest dostosowana do potrzeb jednostki, ale odpowiada wartości pracy, jaką jednostka włożyła w wysiłek produkcyjny



Fr. W. Piotrowski

Polscy żołnierze patrzą na front w tokos

temu w słynnym magazynie amerykańskim „Readers Digest” świętym znawca spraw wschodnich, Max Eastman, pisząc: „Taką postawę uważam dyplomatycznie za ryzykowną aż do szaleństwa, moralnie za haniebną i wreszcie za niebezpieczną dla dalszego istnienia demokratycznych instytucji w Stanach Zjednoczonych”. Popularne uzasadnienie tej oportunistycznej postawy wobec nihilistycznego szantażu ujmuje Eastman w ironicznym haśle: „Nie mów nie przeciwko Stalinowi, bo nie zechce przyjmować naszych żołdów!”.

Rok temu jeszcze te „czolgi” oznaczały wojnę z Niemcami i lęk przed odrębnym pokojem niemiecko-sowieckim, dziś (gdy kłyska Niemiec już jest widoczna), słowo to oznacza „amerykańską nadprodukcję przemysłową”. Nie kijem go, to pałką. Czy wojna, czy pokój, demokratyczne kurecz trwa jak zaklęcie pod hipnotycznym wzrokiem sowieckiej kobry. Ponieważ jednak to kurecz wcale nie jest kureczkiem, ale dorosłym stoniem, więc widok staje się żłośnie komiczny. Tragicznie sytuację powiększa fakt, że prawdziwe kureczki demokratyczne — oddawać zmuszone żyć w bezpośrednim sąsiedztwie kobry — zachowują się jak lwy i zawstydzają stonia!

W czasopiśmie sowieckim „Pod sztandarem marksizmu” ukazał się niedawno artykuł w sprawie „nauczania ekonomii politycznej”, który wywołał w świecie anglosaskim żywe zainteresowanie i doprowadził do najdłuższych wniosków. W artykule tym ostro krytykuje się sztywny i nieczytliwy sposób interpretowania teorii ekonomicznych Marksa i Lenina, którzy nie byli wcale prorokami i których teorie mają sens tylko w odniesieniu do pewnego — przewyżnionego — czasu — okresu walki o wyzwolenie proletariatu. Autorzy powołują się na Stalina, który określił obecny system sowieckim mianem „sojalizmu” i odsunął „komunizm” w daleką przyszłość jako „drugą etap rewolucji”.

W amerykańskim miesięczniku „Foreign Affairs” opublikowano świeżo

państwa. „Nie jest pozbowione ironii — pisze Hoover — że zasada rozdziału dóbr jest taka sama w sowieckim systemie ekonomicznym i w kapitalizmie”. Tak w tym jest ironia, ale znacznie więcej ironii jest w tym, że kapitalistycznego pisarza zbliżość ta — jak zobaczymy — pociesza.

Hoover rozumie, że silne Sowiety nie tylko nie tracą wpływu na komunistów w innych krajach, ale że wpływ ten będą wyżykiwały dla celów swojej własnej polityki państwowej. Hoover sądzi, że może ten fakt bagatelizować, bo z nadzorności sowieckiej racji stanu nad interesami rewolucji światowej wynika również, że Sowiety jeszcze częściej będą komunistów w innych krajach zdradzały, jeżeli będzie tego wymagał interes Rosji. Dlatego Hoover przypuszcza, że to drugie będzie czystsze? Bo jego intencją jest przekonać swoich zwolenników, że jedynym sposobem uniknięcia przewrotu bolszewickiego w Ameryce jest związać Sowiety z Ameryką wspólnymi interesami.

Cytowany już Eastman przewidział ten sofizm, gdy przypomniał zdanie Stalina (wydrukowane w numerze „Prawdy” z dnia 30 stycznia 1925 r.), że „najpóźniejszym sojusznikiem Rosji są spory, konflikty i wojny między narodami kapitalistycznymi” oraz zdanie Lenina, że „żyjemy nie tylko w pewnym określonym państwie, ale w pewnym określonym systemie państw; jest rzeczą nie do pominięcia, by Sowiety mogły długo istnieć obok państw imperialistycznych — w końcu jedni albo drudzy muszą zwyciężyć”. Kto tak myśli, nigdy nie uzna na serio, że powinien z „narodami kapitalistycznymi” i „państwami imperialistycznymi” zawrzeć trwały rozejm, na zasadzie „wspólnych interesów”.

Hoover sam stwierdza, że Rosja nie potrzebuje dbać o forsowny eksport, bo na import nie jest i nigdy nie będzie skazana, a spożywcę wewnętrznie może regulować zupełnie dowolnie — zaciśnięcie pasa obywatelom lub popuszczanie, bez obawy, że ci

obywatele się zbuntują. Hoover rozumie, że w Sowietach państwo nie jest narzędziem narodu, a czy społeczeństwa (które pragnie zachować pewien standard życiowy i pewien styl życia — jak w państwach demokratycznych), ale naród i społeczeństwo — i narzędziem państwa. Politykę robi państwo i jest przez nikogo nie krępowane.

Takie autokratyczne państwo nie może mieć innych celów, jak cele czysto polityczne, nie może dążyć do niczego innego, jak do wzrostu własnej potęgi, dominacji na coraz większych obszarach i rosnących wpływów w innych państwach. Dziś Rosja operuje komunistami — gdzie można — ale także kapitalistami — gdzie trzeba — łudząc ich, że tylko dzięki kolaboracji gospodarczej z Rosją utrzymają się w władzy. Zapewne, „rewolucja światowa” ustępuje sowieckiej racji stanu, ale z tego nie wynika, by — gdzie to się okaże pożyteczne — właśnie rewolucja nie stała się najlepszym narzędziem sowieckiej racji stanu! Nawet popieranie kapitalistów może mieć rewolucyjny cel: wzmacnianie kapitalistów, uzależnienie ich od rosyjskiego rynku zbytu, a potem nagłe pozbowanie ich tego rynku, to przecież najpewniejszy sposób wywołania kryzysu gospodarczego, a w ślad za nim kryzysu społecznego i rewolucji!

Toteż z prawdziwym niepokojem słuchamy Hoovera, gdy po szczegółowej analizie sowieckiego systemu gospodarczego i politycznego, po odkryciu, że Rosja Sowiecka jest państwem totalistycznym, które nie wiadomo dlaczego tak energicznie odcina się od totalizmu hitlerowskiego — bez żadnego logicznego przejścia, bez cienia konieczności konkluduje: „Fakt, że partia komunistyczna w Rosji przeszła ewolucję od bojówku ruchu rewolucyjnego do biurokracji państwowej, oznacza, że jest prawie nieprzypadkowym, by polityka handlowa Rosji Sowieckiej była opartą na celami rewolucyjnymi. Tak więc upadła poważna przeszkoda dla wymiany handlowej między Rosją Sowiecką a krajami kapitalistycznymi”.

Demokratyczny czytelnik, który otrzymał takie pocieszenie, puści mimo uszu przestrożę, zawartą w ostatnim zdaniu artykułu Hoovera: „Zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak i w dziedzinie politycznej należy oczekiwać, że Związek Sowiecki będzie działał w stosunku do krajów kapitalistycznych przede wszystkim jako dynamiczne państwo nacjonalistyczne, chociaż wciąż jeszcze silnie uwarunkowane swoją formą kolektywistyczną i autorytaryzmą (tj. totalizmem)”. Każdy anglosaski demokrat pomyśli sobie: „Z nacjonalistyczną Rosją zawsze się dogadamy — świat jest wielki, wystarczy dla nas miejsca — najważniejsza rzecz, żeby Rosja nie chciała robić rewolucji”. I zaspiaja z ulgą w błogim śnie przyjaźni demokracji czarno-totalistycznej.

Odpowiedzi redakcji

Wyjaśnienie: P. Bolesław Kobrzyński, którego rekonstrukcję wiersza K. G. Chestertona zamieściliśmy w nr-ze „Orla”, prosi nas o wyjaśnienie, że o ile go pamięć nie zawodzi, ostatni wiersz pierwszej zwrotki brzmi istotnie tak, jak wydrukowaliśmy „I srebrnopolny, dumny orzeł czarny”, co niektórzy czytelnicy uważali za błąd. Lśniący czerń pod słońce może dawać wrażenie srebra. Poeta ma tu na myśli orła pruskiego, obok dwóch czarnopolnych i dwugłowych — rosyjskiego i austriackiego. Orzeł polski jest biały nie zaś srebrny.

Bol-ko: Podajemy wyjaśnienie w streszczeniu.

Pchor. Zb. Gr. Reportaż poprawny, ale dostaliśmy go z dużym opóźnieniem i zapewne już się nie zmieści.

Wiktor P-ski. Rozumiemy szlachetny nastrój tej impresji, ale wobec patosu rzeczywistości obawiamy się zawsze szlachetności patosu formy.

Kan. Stan. K-ski. Z wiersza „Błogosław” redakcja nie skorzysta.

Art. M-cki. Otrzymał świeżo 4 wiersze wydaj nam się słabsze od poprzednich Pana utworów. Może jeden z nich zamieścimy, ale spodziewamy się w przyszłości lepszych.